EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 maja 1937 r. Rok IV, Nr. 9 (88)

Treść numeru:

WILCZE NASIONA

Karą — a przede wszystkim znamieniem — wszelkiego despotyzmu jest to, że nie ma on odwagi przyznać się do własnego oblicza.

Odwagi tej — mimo pozorów nieustraszoności — nie posiada i jego najnowsza, dzisiejsza odmiana, występująca pod mianem bądź wschodniego, bądź zachodniego totalizmu. Zarówno Stalin, jak Mussolini i Hitler, utrzymują, że despotyzm ich jest tylko przejściowy, i że jego zadanie polega na tym, aby ludzi wychować do wolności, do *prawdziwej* wolności.

Tu właśnie tkwi mistyfikacja totalizmu.

Wolność nie może być nagrodą za cnotę: bez wolności bowiem nie ma cnoty. Bez wolności nie ma też i sumienia. Bez wolności nie istnieje w ogóle odpowiedzialność moralna. Wolność jest podstawą życia moralnego — i wśród ludzi dorosłych nie może być wyliczana jak pigułki, spożywana w dawkach, jak karmelki, ofiarowane grzecznym dzieciom.

Teza dyktatury wychowawczej, mającej batem kształcić niewolnika, aby w nim wychować obywatela, jest tak stara (i bezpłodna), jak stare jest na świecie kłamstwo, jak stary jest wyzysk człowieka przez człowieka.

Prześladowania i katusze hartować mogą ludzi wyjątkowo silnych. Z cennej rudy charakterów wytapiają niekiedy kruszec najcenniejszy. Ale czy można uważać je za naturalną, powszechną szkołę wychowania dla szerokich rzesz? Czy ze szkoły takiej nie wyrastają na gruncie zbiorowym raczej obłuda i skrytość, fałsz i dwulicowość? Któż z nas nie pamięta lub z historii niedawnej nie zna owego natrętnego zarzutu, jakim wszystkie rządy zaborcze ścigały Polaków? Zarzut ten brzmiał: „Intryga polska". *Otóż posądzenie o intrygę i dwulicowość rodzi się wszędzie tam, gdzie bywa kat i ofiara, tyran i poddani, totalizm i totalizowani.* Najgłośniejszy z totalistów, prokurator Wyszyński, który z ramienia dyktatury sowieckiej ekspediuje na śmierć coraz nowe ładunki ofiar, skazywanych ryczałtem, gdy chce ofiary swe przygwoździć „do stienki", cóż im zarzuca, jeśli nie odwieczną zakałę niewolników — „dwuruszniczestwo", t. j. dosłownie — dwutorowość, dwujęzyczność, dwulicowość. Lecz dwulicowość — jest to właśnie wytwór despotyzmu, którego klątwa polega na tym, że *musi prześladować to, co sam w duszach ludzkich hoduje.*

Nie łudźmy się bowiem, że obłuda i dwulicowość szerzy się jedynie pod rządami totalizmu wschodniego. We Włoszech, w przededniu przewro-

tu faszystowskiego, 45 proc. obywateli-wyborców oddało swe głosy na posłów robotniczych i katolicko-ludowych („popolari"). W Niemczech, na pół roku przed chwyceniem władzy przez Hitlera, 13 milionów obywateli wypowiedziało się przeciw swastyce i rasizmowi. Co stało się z tymi potężnymi masami w chwili obecnej? Dla każdego, kto nie wierzy w cuda, jest rzeczą jasną, że nie mogły one zapaść się pod ziemię. I nie mogły w swym łożysku odwrócić biegu ani ich przekonania, ani ich nadzieje społeczne. Te miliony ludzi, po prostu, przywdziały maski. Skryły swe myśli, zataiły swe pragnienia. Nie każdego stać było, na taką próbę heroizmu, jaką umierając pod ciosami włoskich gepistów, złożył Jakub Matteotti. Nie każdy zdobyć się potrafi na samotne męstwo Karola Ossietzkiego.

Pierwszy, pospolity efekt, który sprowadzają rządy totalne, uzbrojone w teror, to właśnie — „dwuruszniczestwo", oraz dwulicowość, na którą tak piorunuje prokurator moskiewski. W dziewięciu wypadkach na dziesięć ludzie myślą pod dyktaturą tak samo, co dawniej, ale myśli swych nie mogą ujawniać. Teror miejscowy trzyma na wędzidle języki i umysły. Pomińmy uczucia, jakie podobny stan ponurej maskarady budzić musi w sercu prawdziwych patriotów, wrażliwych na honor swej ojczyzny. Fakt pozostaje faktem: w państwach totalnych obywatele (o ile ludność państw takich może rościć pretensje do miana obywateli) skazani są na życie w obłudzie i fałszu: skazani są na nie przez przymus, który nimi rządzi. A fałsz i obłuda, gdy łączą się z trucizną nawarstwiających się stale upokorzeń, dają w wyniku to, co najbardziej naturę ludzką degraduje, co budzi w niej najgorsze instynkty.

Cóż jest, istotnie, smutniejszego i groźniejszego! — pod słońcem, niż widok człowieka, niż widok warstwy społecznej, w której rok po roku gromadzą się zdeptane urazy, tłumione krzywdy, zapiekłe nienawiści? Cóż bardziej przygnębiającego, niż cały ten kłąb sponiewieranych, zatrutych namiętności, które, jak hydra, wżerają się w psychikę ludzką, pustosząc i zarażając do głębi życie i świadomość moralną?

Owe sponiewierane uczucia i popędy, wyrodniejące w mściwość, nienawiść i okrucieństwo, owe — jak je swego czasu już Maurycy Mochnacki nazywa — *wilcze nasiona* niewoli, są najcięższym okupem, przez jednostkę lub zbiorowość płaconym za utratę wolności.

Człowiek, szczep, klasa lub naród może niekiedy przebaczyć, ale przebaczyć — to nie znaczy zapomnieć! A przy tym przebaczenie daje o tyle moc ulgi moralnej i oczyszczenia, o ile szło w parze z uprzednią możnością wzięcia odwetu i wymierzenia sobie sprawiedliwości. Wspomnienie krzywdy niepomszczonej i nie dającej się powetować, wyaniela niekiedy dusze wybrane, ale zwykłych ludzi łamie lub — co gorsza — poniża i napełnia jadem.

Jeśli niewola polityczna bywa tak okropnym nieszczęściem w życiu narodu lub klasy, to dlatego, że u spodu tego życia, na dnie, zbiera się ów jad, który przeżera i rozkłada siły moralne: ów jad, na który składają się nienawistne przymusy, wynaturzone uczucia, nieodpłacone zniewagi, zdławione pożądania zemsty, skażone i rozdwojone sumienia; to wszystko, na co uchylił zasłony Mickiewicz w swoim „Wallenrodzie", Żeromski — w swej „Róży". I jeśli walka o wolność i demokrację bywa najświętszą sprawą człowieka, to dlatego, że jest walką o jego istotę moralną, o jego byt duchowy.

W. Rzymowski.

ZASTRZYKI I PIGUŁKI

Sowiety nie są jedynym państwem, w którym odbywają się procesy pokazowe. Tę samą formę zemsty obliczonej na efekt wewnętrzny i demonstrację na zewnątrz stosuje III-a Rzesza. Metody tej użyto w Berlinie ostatnio wobec Watykanu. Mamy więc serię procesów katolików, oskarżonych o współdziałanie z komunistami. Toczy się jeden z takich procesów przed tak zwanym ludowym trybunałem w Berlinie, przed którym odpowiadają trzej działacze katoliccy: ksiądz Józef Rossent, Clemens i Kremer. Przebieg procesu jest kubek w kubek podobny do procesów — monstre, których świat był zdumionym świadkiem w Moskwie.

Tak samo jak tam na ławie oskarżonych zasiadają ludzie trzymani od dłuższego czasu w więzieniu, tak samo jak w Moskwie zjawiają się świadkowie oskarżenia, przyprowadzani z za krat, potwierdzający wszystko, czego sobie życzy prokurator, tak samo wreszcie oskarżeni w zasadzie nie zaprzeczają oskarżeniom wysuwanym przez władzę narodowo-socjalistyczną.

Proces wspomnianych trzech działaczy katolickich ma stwierdzić, że istniał i istnieje szeroki front koalicji przeciw ustrojowi hitlerowskiemu od katolików do komunistów. Przyprowadzeni z więzienia skazani za komunizm, Berta Karg i Fritz Grosse, chętnie stwierdzają, że ksiądz Rossent jeszcze w 1932 r. organizował zgromadzenia młodzieży katolickiej, na które zapraszał komunistów. Oskarżeni nie przeczą temu, twierdzą jednak, że frontu wspólnego z komunistami nie tworzyli. Na tym polega różnica procesu berlińskiego z moskiewskim. Sama metoda jednak jest podobna i tak przypadła do gustu, że jednocześnie z tym procesem wynaleziono już zakonników — dominikanów w Fuldzie, u których znaleziono dowody prowadzenia przez nich t. zw. „Greuel propaganda" w Stanach Zjednoczonych wraz z Żydami przeciw III-ej Rzeszy. Braciszek Donat aresztowany przy takiej rewizji przyznał się do wszystkiego! Będziemy więc mieli nowy proces pokazowy o współdziałanie zakonników katolickich z Żydami.

Tę nową formę działania władza narodowo - socjalistyczna obrała w dążeniu do wywarcia presji na Watykan po słynnej encyklice. Już raz, gdy stosunki pomiędzy III-ą Rzeszą a kościołem katolickim były mocno naprężone, rząd hitlerowski uciekł się do procesów: zasiedli wówczas przed różnymi trybunałami księża zakonnicy i zakonnice pod zarzutem przestępstw dewizowych i wykroczeń natury moralnej. Procesy sypały się jak z rękawa. Watykan protestował i oburzał się, ale spróbował drogi kompromisu. Procesy nagle ustały.

Obecnie powtarza się ta procedura w formie zaostrzonej i szczególnie dla kościoła katolickiego przy-

krej — oskarżeń o współdziałanie z komunizmem. Ma to znowu wywrzeć presję na sfery kierownicze kościoła.

Z drugiej strony jednak podjęcie tej akcji przez przywódców III-ej Rzeszy świadczy jeszcze o czymś innym. Zduszona, zdawało się, opozycja przeciw ich rządom odżyła jak hydra stugłowa w coraz innych postaciach i daje się dotkliwie we znaki tam, gdzie panowała już cisza cmentarza lub miarowe dźwięki koszar w czasie ćwiczeń. Najnowsze objawy tego stanu rzeczy — to tajna radjostacja zwana niemieckim posterunkiem wolności, który szerzy po kraju wieści o położeniu w państwie i za jego granicami i fala perjodycznie ukazujących się tajnych ulotek. Gestapo w bezsilnej złości miota się, poszukując bezskutecznie sprawców. A jednocześnie, jak mówią ludzie przybywający z nad Szprewy, po raz pierwszy od czterech lat, wśród masy społeczeństwa zanika wiara w trwałość obecnych rządów, zaczyna mijać lęk i przerażenie, budzi się poczucie godności osobistej i przekonanie, że to, co trwać miało rzekomo tysiąc lat, nie przetrwa nawet najbliższych czasów.

Stąd chęć zemsty i nowa fala represji. Sięgnęła ona ponownie do Żydów, o których już jak gdyby zapomniano. Tym razem wydano specjalne zakazy odbywania posiedzeń organizacji żydowskich, usiłując raz jeszcze jak zwykle wobec trudności wewnętrznych skierować niezadowolenie przeciw Żydom. Wykryto w tym celu nawet jakąś lożę „Żydów - masonów", która rzekomo ostała się pomimo rozwiązania wszystkich organizacji wolnomularskich. Ten truc zresztą nie działa. Któż miałby uwierzyć, że brak żelaza, tłuszczów, mąki etc. po 4-ch latach rządów hitlerowskich wywołała w Niemczech loża Bnei-Brith. Uwierzyć w to mógłby chyba jedynie na całej kuli ziemskiej tylko... „Goniec Warszawski".

O Żydach wobec różnych kłopotów przypomniał sobie także i rząd węgierski. Po udaremnieniu spisku hitlerowskiego, kiedy jego tajny kierownik poseł Rzeszy p. von Mackensen już opuścił Budapeszt, przedstawiciele opozycji z przywódcą partii drobnych rolników (o charakterze chrześcijańsko - społecznym) p. Eckhardtem, wystąpili z dalszymi zarzutami przeciw rządowi, wskazując, iż część prasy prorządowej uprawia agitację hitlerowską, korzystając jednocześnie z subsydiów rządu, który twierdzi, że do agitacji takiej nie dopuści. Rząd p. Daranyi'ego, chciałby zerwać z pozostawioną mu przez Gömbös'a przeszłością, ale nie ma odwagi, ciąży na nim długi okres tendencji totalistycznych, który pozwolił na rozwój zgubnego dla Węgier hitleryzmu. Dokonano próby rekonstrukcji rządu. Tekę spraw wewnętrznych którą piastował prowizorycznie premier, oddano p. Józefowi Szellowi. Po tej zmianie premier Daranyi w mieście Szeged wygłosił dłuższą mowę sprawozdawczą. I w tej mowie najwidoczniej, aby ułagodzić zagniewane prawe skrzydło partii rządowej, sięgnął do Żydów. Tym razem nie było mowy o wszystkich Żydach, nie, pan Daranyi chciał być w zgodzie ze swoimi liberalnymi oświadczeniami, chciał zachować t. zw. obiektywizm, a jednocześnie nie narazić się antysemitom. Znamy takich mężów stanu.

— Chcemy — mówił p. Daranyi — mówić o kwestji żydowskiej bez nienawiści i bez uprzedzeń, badając zagadnienie obiektywne, czy istotnie Żydzi są przyczyną wszelkiego zła na Węgrzech. Twierdzę, że gdyby na Węgrzech nie było Żydów, to i wówczas niewątpliwie mielibyśmy swoje kłopoty. Jesteśmy bowiem krajem okaleczonym, krajem rolniczym, mamy za mało kapitałów, ludność nasza jest liczna i nie należycie osiedlona, nie mamy surowców.

Po tym wstępie następuje potępienie demonstracji antysemickich i ekscesów, bo — mówi pan premier węgierski — nie rozstrzygają one sprawy żydowskiej. Rząd przeciw winowajcom gwałtów występować będzie z całą surowością prawa.

Po tym uroczystym i bez zarzutu wstępie następuje takie wynurzenie:

— Istota zagadnienia żydowskiego tkwi w życiu gospodarczym. Żydostwo ma nieproporcjonalnie duży udział w tej dziedzinie naszego życia. Społeczeństwo węgierskie jest w sprawie żydowskiej podrażnione także przez przesiąkających ze wschodu Galicjan z ich odrębnością i instynktowną chciwością w handlu".

Oklaski stają się jeszcze bardziej owacyjne. Pan Daranyi dokonał wynalazku: wprawdzie odrzucił antysemityzm, ale, obarczył odpowiedzialnością za kłopoty jakie mają Węgry garść Żydów emigrantów z naszej Małopolski!

Dotychczas na łamach prasy w Polsce ten występ premiera węgierskiego nie był oświetlony. Stanowi on dowód szkodliwego działania sugestii hitleryzmu, z jednej strony. Z drugiej zaś strony dowodzi jak zawsze jednakie są metody postępowania reakcji, która nie może sobie dać rady z zagadnieniami społecznymi i gospodarczymi. Żydowska loża masońska — w Berlinie, Żydzi galicyjscy — w Budapeszcie, a w Rzymie — wynaleziono nieco Żydów jako winowajców trosk i kłopotów faszyzmu. Zajmuje się tym czasopismo „Il Tevere".

W momencie, kiedy totalizm jest niewątpliwie na całym świecie w odwrocie, kiedy przeciwstawia mu się coraz ostrzej i wyraźniej zorganizowana demokracja Zachodniej Europy (vide ostatnie przemówienie ministra obrony narodowej Francji Daladier'a w Manchesterze), po niepowodzeniach w Hiszpanii, po klęsce Degrelle'a w Belgii, po pierwszej przegranej wyborczej partii De la Rocque'a we Francji, sięga się to tam, to owdzie po Żyda, aby pobudzić nienawiść i podtrzymać czynniki destrukcji i gwałtu.

Na tle takiej sytuacji na świecie szczególne zdumienie i nawet oburzenie wywołać musiała podróż sędziwego dawnego przywódcy angielskiej Labour-party Lansbury'ego do kanclerza Hitlera. Słusznie w ostrym bardzo tonie przeciw tej bezmyślnie naiwnej eskapadzie zaprotestował komitet niemieckiej partii socjal - demokratycznej (na emigracji), pisząc m. in.: — „Gdyby Lansbury nie był Anglikiem, lecz Niemcem, nie byłby przyjęty przez Hitlera, a byłby skazany na więzienie dożywotnie. Przez swoje twierdzenia o rzekomo pokojowych zamiarach hitleryzmu popiera on bałamuctwa propagandy III-ej Rzeszy i pośrednio uderza w walkę o polityczne i kulturalne wyzwolenie narodu niemieckiego. Przeciw prywatnej inicjatywie Lansbury'ego protestujemy jaknajbardziej stanowczo".

Na szczęście kierownicy brytyjskiej polityki potraktowali imprezę Lansbury'ego lekceważąco i żadnego znaczenia jej nie nadali.

Ten zastrzyk zaufania, który obok pigułek antysemickich miał służyć do wzmocnienia wkraczających w okres przekwitania organizmów totalnych, zawiódł całkowicie. *St. Grostern.*

Z DNIA NA DZIEŃ

WIELKA ZASŁUGA

Trzydzieści lat temu w okresie najsroższych prześladowań ruchu wolnościowego rozpoczęli swoją zaszczytną służbę obrończą sławni później adwokaci: Wacław Szumański, Leon Berenson, Eugeniusz Śmiarowski, Kazimierz Sterling, Henryk Landy, Jerzy Skokowski. Pełni zapału ideowego, poświęcali się oni niemal wyłącznie obronie więźniów politycznych, a swoim trudem wieloletnim, zbawiennym dla wielu podsądnych zapisali się chlubnie w dziejach walk o tryumf sprawiedliwości i stali się ozdobą adwokatury warszawskiej.

Obecnie z tego sławnego grona pozostali na posterunku tylko dwaj, którzy dalej pełnią swoją powinność, nie sprzeniewierzywszy się ideałom młodości: Wacław Szumański i Leon Berenson. Reszta już legła w grobie.

Swoją trzydziestoletnią pracą (1907—1937) w służbie idei i obowiązku Wacław Szumański i Leon Berenson dowiedli, że zasady są im droższe nad wszystko. W dniu ich cichego jubileuszu demokracja polska w hołdzie skłania przed Nimi głowy.

PÓŁ KROKU OD OBŁĘDU

Młoda nauczycielka języka polskiego w państwowej szkole im. Lelewela w Warszawie, pani Antosowa, stała się w lutym b. r. przedmiotem napaści ze strony dziennika „ABC". Zarzucano jej, że szerzy komunizm, że propaguje wolną miłość, że omawia na lekcjach... zagadnienia prostytucji.

Pani Antosowa zareagowała na napaść skargą, złożoną do sądu. Przewód sądowy ukazał w całej pełni potworne i haniebne metody rodzimej kołtunerii, nie uznającej żadnych skrupułów, nie liczącej się z żadnymi względami. Kłamstwo, oszczerstwo, potwarz — to doskonałe metody, byle prowadziły do zamierzonego celu. Tym razem oszczercy przeliczyli się jednak i przeholowali. Może przebieg rozprawy, jak i wyrok sądu będą przestrogą na przyszłość, choć mało jest prawdopodobne, by nikczemne wstecznictwo skore było do porzucenia swych metod walki.

Dyrektor szkoły im. Lelewela, p. Jakubowski oraz dyrektorzy innych gimnazjów, w których wykładała pani Antosowa, wystawili jej najpochlebniejsze świadectwo. Dyrektor Kujawski, były poseł ze stronnictwa chrześcijańsko - demokratycznego, entuzjastycznie mówił o pani Antosowej. Wizytator, p. Głuchowski, określił metody jej nauczania jako „stojące na wysokim poziomie moralnym i budzące ducha patriotycznego i poczucie obywatelskie wśród młodzieży".

Jak tedy zrodziły się potworne zarzuty, które złamać mogły życie młodej nauczycielce?

Oskarżenie ukuła endecka grupa nauczycieli, na której czele stał ks. prefekt Konstanty Pogorzelski.

Jeden z byłych uczniów szkoły, obecnie student, p. Urbanek, zaniósł — po rozmowach z księdzem! — oszczerstwo do „ABC".

Wedle opinii potwarców, pani Antosowa faworyzowała uczniów — komunistów. Stuprocentowym komunizmem miało tedy trącić wypracowanie ucznia, który pisał:

— Wyobrażam sobie przyszłe życie, jako zgodną i harmonijną współpracę robotników i inteligencji. Robotnicy będą syci, szczęśliwi i będą pracowali w widnych salach fabryk".

Jeżeli to ma być komunizm — wskazał pełnomocnik oskarżycielki — to sąd musiałby ukarać za komunizm wszystkich uczciwych ludzi w Polsce.

Zarzut niemoralności i propagandy wolnej miłości odnosi się do dyskusji, do której pani Antosowa, „dopuściła" przy omawianiu akcji miłosnej w... „Ogniem i mieczem".

Inny jeszcze zarzut wytoczono pani Antosowej.

— Mizdrzyła się w przykry sposób do mężczyzn — zeznaje jeden z nauczycieli — endeków.

— Na czym to polegało? — pyta pełnomocnik nauczycielki.

— Kiedy się witała, podchodziła na pół kroku, jakby chciała otrzeć się ciałem — pada niewiarygodne wyjaśnienie.

„Podchodziła na pół kroku! Czy w tym nieprawdopodobnym oskarżeniu nie tai się niewyżyty, freudowski kompleks, który stawia raczej oszczerców o pół kroku od obłędu!

Przed sądem przewinęli się też kilkunastoletni uczniowie. Musieli odpowiadać na pytana, podające w wątpliwość moralność ich nauczycielki.

Obrońca oskarżonego redaktora ABC, Grzeleckiego, odsłonił właśnie intencje potwarców. Pani Antosowa jest może niewinna — mówił. — Winien jest system nauczania, winna jest szkoła. Przy tej okazji adwokat oenerowski wygłosił przemówienie, podburzające przeciw polskiemu szkolnictwu.

W tym szaleńczym i fanatycznym spotwarzaniu polskiej kultury i oświaty jest metoda, świadoma swych celów.

Wstecznictwo doskonale, zdaje sobie sprawę, że tylko poprzez anarchizowanie polskiego życia kulturalnego, tylko poprzez szerzenie obskurantyzmu i potęgowanie ciemnoty — może ono istnieć i żerować.

Redaktor odpowiedzialny „ABC" skazany został na 3 miesiące bezwzględnego aresztu.

REWELACYJNA SZCZEROŚĆ

Na łamach prasy angielskiej i francuskiej obszernie cytowana jest książka włoska, uznana za najszczerszy dokument, jaki ukazał się w Italii od chwili nastania reżymu faszystowskiego.

Autor: marszałek Emilio de Bono.

Przedmowa — pióra Mussoliniego.

De Bono, głównodowodzący armii faszystowskiej w pierwszych miesiącach wojny etiopskiej, opowiada, jak i kiedy uplanowano podbój Abisynii.

Utarło się mniemanie, że zatarg pod Ual — Ual w końcu roku 1934 był wstępem do akcji wojennej. Jednak w rzeczywistości...

W rzeczywistości rozpoczęto przygotowanie wojny w roku 1933: — „Duce był zdania, że można będzie rozpętać burzę dopiero w roku 1936. Tymczasem była jesień **1933 roku.** Duce nie wspomniał nikomu słowem o przyszłych działaniach we wschodniej Afryce. On jedynie i ja wiedzieliśmy o tym, co nastąpi.

Dalej opowiada de Bono, że na początku 1934 wtajemniczono kilku dostojników faszystowskich, nie wyjawiając jednak terminów akcji.

20 grudnia Mussolini sam opracował „plan działania w celu rozwiązania kwestii abisyńskiej". Dokument ten napisany został w pięciu tylko egzemplarzach.

8 marca 1935 roku marszałek Bono otrzymał list od Mussoliniego:

— Moim zdaniem, będziemy musieli podjąć działania w październiku lub listopadzie. Powinniśmy rozporządzać wówczas na miejscu 300.000 ludzi, 300 — 500 samolotami i 300 szybkimi ciężarówkami. Wobec możliwości komplikacyj międzynarodowych (naprzykład w Lidze Narodów), lepiej przyśpieszyć akcję!

Nowy list z 26 lipca:

— Atak musi być piorunujący od początku. Ma pan tylko 25 dni na przygotowania.

W tym samym czasie delegaci Włoch w Genewie zapewniali o swych najczystszych intencjach. Dyplomatyczna zabawa pozwoliła marszałkowi Bono koncentrować wojsko, wzniecać bunty prze-

ciw Negusowi i przekupywać zdrajców.

Wszystko to dokładnie odtwarza książka marszałka, który podaje nadto niezmiernie interesujący szczegół:

Oto na wypadek konfliktu z Wielką Brytanią rozkaz Mussoliniego brzmiał— „przerwać ofenzywę i zadowolić się obroną Erytrei".

Z rewelacyjnej książki marszałka Bono płyną wnioski nieocenione: dyplomacja w rozumieniu faszyzmu służy wyłącznie do łudzenia opinii międzynarodowej; faszyzm liczy na bierność państw demokratycznych (przecież na wypadek stanowczego oporu Anglii, Mussolini gotów był cofnąć się); za parawanem układnych stosunków z Ligą Narodów Mussolini uplanował już w roku 1933 podbój Abisynii!

Paryski dziennik L'Oeuvre" zadaje pytanie:—„Czy podobne rewelacje o premedytacji podboju Etiopii nie powinny coś nie coś dać do myślenia tym wszystkim, którzy uparcie chcą wierzyć w „spontaniczność" rebelii hiszpańskiej?

NIEMIECKA PARTIA WOLNOŚCI

W Berlinie obiega od pewnego czasu broszura, za której wydawcę podaje się „Niemiecka Partia Wolności", reprezentująca wszystkie stany, religie i dawne stronnictwa polityczne wraz z narodowcami, socjalistami, demokratami, a nawet narodowymi - socjalistami.

Nielegalna publikacja głosi, iż Partia Wolności jest braterskim związkiem obywateli, których jedynym celem jest walka o wolność.

Zadaniem Niemieckiej Partii Wolności jest zwalczanie ekonomicznej polityki autarchii, która rujnuje handel niemiecki, pozbawia ludność masła i podraża powszedni chleb. Zarobki świata pracy muszą być pokaźnie zwiększone. Dalej — walka podjęta być musi o wolność religii, o praworządność, o niezawisłość sądów, o wolność słowa mówionego i pisanego.

Rozwiązaniu winien ulec obecny Reichstag, w którym zasiadają tylko „urzędnicy bez własnej woli i poddani rozkazom". Należy przeprowadzić nowe, wolne wybory posłów — przy swobodzie zgromadzeń i wolności prasy.

W dziedzinie polityki zagranicznej Partia Wolności żąda pokoju z wszystkimi państwami i porozumienia Niemiec z sąsiadami, a przede wszystkim — Francją, Polską i Czechosłowacją. Wreszcie cofnąć trzeba poparcie, użyczone „zdradzieckiemu generałowi hiszpańskiemu".

Dodatkowa ulotka domaga się plebiscytu, któryby rychło rozstrzygnął, czy należy popierać generała Franco, posyłając mu „niemiecką broń, aeroplany, amunicję i niemiecką krew".

Publikacja rozesłana została pocztą w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Zadziwiające jest, że zdołano zmylić czujność tajnej policji Gestapo.

Wszystkie dzienniki zagraniczne, które zamieściły wzmiankę o Niemieckiej Parti Wolności — uległy na terenie całej Rzeszy konfiskacie.

ŻEBY NIE ZNIECHĘCAĆ INNYCH.

Jaskrawy kontrast między przepychem hołdów pośmiertnych i bogactwem pogrzebu a smutnymi warunkami życia Karola Szymanowskiego, nie przestaje wywoływać refleksji. Ale o tym wszystkim pisze się tak, jakgdyby los wielkiego muzyka stanowił jakiś wyjątkowy wypadek krzywdy osobistej i rzadki objaw niewdzięczności społecznej.

Księga martyrologii polskiej zawiera i w tym względzie długi skorowidz nazwisk: pisarzy, artystów, uczonych, twórców bądź nieuznanych za życia, bądź zaszczutych i zagłodzonych, ale za to szumnie czczonych po śmierci.

Jestto od bardzo dawna uświęcony u nas porządek rzeczy, który nie dziwi tych, co sami padają jego ofiarą.

Warto przypomnieć tu słowa znakomitego psychologa polskiego, J. Wł. Dawida, który ten porządek rzeczy określił dosadnie i ironicznie: „Istnieje tajemna umowa między społeczeństwem a niektórymi jednostkami — zużyjcie swoje siły na rzeczy dla was nieprodukcyjne, przez to ginąć będziecie z głodu, z przepracowani i schodzić przedwcześnie do grobu. Za to po śmierci ja wam nie odmówię pewnego uznania, to i owo się zrobi, żeby *nie zniechęcać innych!*"

GORZKIE ŻALE MARII DĄBROWSKIEJ

Przed dwoma tygodniami wyróżniliśmy już, jako fakt wysoce dodatni na palu naszej publicystyki społecznej, studium Marii Dąbrowskiej p. n. „Rozdroże". Od tej pory książka nabrała niemałego rozgłosu dzięki wściekłym, iście opętańczym, napaściom ze strony rzeczników i najmitów reakcji, głównie zaś szermierzy i wyznawców renty obszarniczej. Wśród napaści owych nie brak, oczywiście, i tej najmniej rycerskiej, która, niestety, stała się już dla arsenału pewnego odłamu prasy typową: znakomita autorka „Nocy i dni", która jeszcze niedawno była niemal na rękach noszona przez sfery ziemiańskie za swą „sagę Niechciców", dziś przez te same sfery oskarżona jest o „zniewagę uczuć patriotycznych" i sprzyjanie „powiewom wschodu".) Czyżby jedyną siedzibą uczuć patriotycznych, jedynym szańcem obrony narodowej, była w Polsce kieszeń obszarnika? I czyżby dość było tę kieszeń obrazić, aby znaleźć się pod anatemią św. Inkwizycji? Co najbardziej w książce Dąbrowskiej oburza brać ziemiańską, to podsuwane jej domniemanie, — zdawałoby się, raczej zaszczytne, — że ponad swój ciasny interes grupowy zdolna byłaby ona stawić powszechne dobro narodu; że byłoby stać ją na to, aby przezwyciężając egoizm i materializm klasowy, wznieść się do zrozumienia doniosłości chłopa dla Polski.*

Poniżej Czytelnicy nasi znajdą wiązankę zdań, wybranych z książki Dąbrowskiej. Ich brzmienie autentyczne najlepiej określi postawę duchową tej sfery, która w nich zobaczyła zniewagę swoich uczuć i podszept... szatana.

Redakcja „EPOKI".

*) P. *„Warsz. Dz. Nar."* nr. 110, zawierający przedruki z *„I.K.C."* i *„Słowa"*.

Zgoda narodowa na wsi nie może być zawsze tylko zgodą chłopów na postulaty ziemiańskie.

*

Cywilizacja chłopska była długie czasy utajona i jeśli można tak powiedzieć — defensywna. W tej chwili jednak, mimo trwania nadal nieprzyjaznych okoliczności, chłop jest elementem cywilizacyjnym o takim napięciu twórczej siły, jakie przejawiał naród polski jedynie w najbardziej dynamicznym, piastowskim okresie swych dziejów.

*

Interes dwudziestomilionowej masy chłopskiej jest dla przyszłości Polski ważniejszy, niż interes garści ziemian. Z tym wszyscy powinniśmy się pogodzić i z tego tylko punktu widzenia rozpatrywać wszystkie drażliwe zagadnienia wsi.

*

Jest dzisiaj może wiele mody na reakcyjność, tak jak była niegdyś moda na postępowość. To jednak zdaje się pewne, że większość popularyzowanych obecnie haseł i wprowadzanych albo nawet żądanych (tęsknota do bata) sposobów rządzenia stanowi tylko nawrót ku dawno

skompromitowanym postaciom wstecznictwa i ucisku.

*

Nowe nazwy nie powinny nikogo wprowadzać w błąd. Reakcja, jak każde zło, często nakłada maski. „Upiór przeszłości fałszuje sobie paszport" — pisał o tym Wiktor Hugo.

*

Wspólność interesów. Bardzo dobrze. Jednak w olbrzymim środowisku wiejskim wspólność ta nie może być tożsamością. Musi istnieć jakaś hierarchia tych interesów, jakieś konieczności podporządkowania czasami mniej ważnych — ważniejszym. A w takich wypadkach o ważności nie może decydować tylko ziemiaństwo.

*

Co do nienawiści społecznej, to, niestety, wiele jest nienawiści w dzisiejszym życiu, i kto żyw tę nienawiść podsyca.

Lecz gdy ziemiaństwo sądzi, że ukrywanie faktu zastarzałych krzywd i nierowności społecznych jest wystarczające dla zachowania zgody i miłości społecznej, to w takim stawianiu sprawy jest omyłka.

*

Nienawiść społeczną siały i hodowały przez wieki warstwy posiadające i uprzywilejowane.

Nie zdawały sobie z tego sprawy. Ale jeśli jest dziś jeszcze jakaś niechęć do ziemiaństwa śród chłopów, to wyrasta ona tak nieuchronnie jak oset wyrasta na ziemi, w którą oset posiano. I tylko uprzytomniwszy sobie tę prawdę okrutną, możemy nienawiść wyplenić z życia naszego z korzeniami.

*

... są jeszcze w Polsce nieliczni magnaci, którzyby mogli z dobrej woli ofiarować państwu na reformę rolną część swych licznych folwarków całkiem bezpłatnie.

Takie jednak ambicje śród naszych magnatów nie istnieją, a mogłyby się pojawić jedynie wtedy, gdyby cały stosunek ziemiaństwa do sprawy chłopskiej był oparty na rzeczywiście a nie formalnie tylko wyznawanym chrystianiźmie.

*

Jesteśmy nietylko krajem, ale w jeszcze większym stopniu narodem chłopskim.

Kto zatym powiada, że chłop nie jest w stanie wyżywić Polski, ten mówi, że Polska wogóle nie jest w stanie wyżywić się — więc istnieć.

Kto powiada, że chłop nie jest w stanie sprostać zadaniom obrony państwa, ten mówi, że naród polski nie jest w stanie obronić się przed napaścią.

Kto twierdzi, że zamożność, aprowizacja, bezpieczeństwo kraju winny zależeć głównie od stanu i obszaru wielkich majątków ziemskich, ten mówi, że byt narodu i państwa powinien się wspierać na świetności kilkunastu tysięcy rodzin, posiadających zaledwie piątą część użytków rolnych i stanowiących znikomy ułamek odsetka obywateli.

Byłoby to niby wsparcie olbrzymiego gmachu na wątłej zapałce, choćby ta zapałka i ze szczerego była złota.

Rzecz możliwa dziś już tylko w majaczeniach gorączki.

*

Paradoksem dziejów ostatniego dziesięciolecia jest, że przewrót majowy, zrobiony przez żywioły raczej demokratyczne i poparty przez ugrupowania radykalne społecznie, doprowadził niebawem do systemu rządów otwarcie przeciwnego demokracji.

*

Nikt nie może zaprzeczyć, że czynniki „rewolucji i sanacji moralnej" nie poszły za najbardziej obowiązującą tradycją Kościuszki. Nie ku chatom i robotniczym izbom, więc nie ku ogromnej większości narodu się zwróciły, lecz ku pałacom.

U ŹRODEŁ SYNTEZY

Można rzec bez przesady, że oblicze ideowe Polski w najbardziej podstawowych dziedzinach życia znajduje się dzisiaj jeszcze w stadium mgławicowym. Fakt ten jest wypływem głębszych i szerszych procesów dziejowych; treścią ich jest powolne ale ustawiczne obumieranie tych sił społeczno - narodowych, które przez całe wieki dzierżyły w swoich rękach ster rządów, tworzyły kulturę, opinię, obyczaj. Istotną cechą tych minionych czasów było to, że nadmiar przywilejów był udziałem jednej tylko warstwy i to bynajmniej nie najliczniejszej. Polska zapłaciła najwyższą cenę, bo swoją niepodległością za te dysproporcje, przywileje jednych, upośledzenie i krzywdę drugich.

Zdawałoby się jednak, że dzisiaj po wiekowych, tak bogatych a równocześnie tak tragicznych doświadczeniach — w momencie kiedy stanęliśmy wobec doniosłego zagadnienia, na jakich podstawach mamy budować nowe państwo polskie, zwarte wewnętrznie i dostatecznie odporne na ewentualne wichry i burze dziejowe z zewnątrz pochodzące, że — powtarzam — w tym momencie nie będzie w narodzie polskim wahania.

A jednak wbrew wszelkim rozumowym i historiozoficznym przesłankom Polska dzisiejsza nie może wyjść z zaczarowanego kręgu, w który weszła przed kilku wiekami. W innej porze dziejowej i w innej sytuacji społecznej plącze się w tych samych błędach.

I jak, dla Polski przedrozbiorowej — a później w okresie walki o jej niepodległość zagadnienie uwłaszczenia ziemią chłopów — jako najliczniejszej warstwy należało do najbardziej palących — tak nad dzisiejszą rzeczywistością polską ciąży przemożnie zagadnienie uwłaszczenia warstwy chłopskiej w zakresie praw obywatelskich, jej prawa do organizowania się na wszystkich polach oraz dźwigania się wzwyż z wiekowego upośledzenia. W dziele utrwalania podstaw Polski niepodległej wyciągamy nauki z błędów i doświadczeń naszej ponurej przeszłości.

Tak jak dawniej nie rozwiązywano sprawy chłopskiej w momencie do tego najodpowiedniejszym, tak również dzisiaj robi się wszystko, ażeby przeszkodzić procesowi naturalnego zabliźniania się krzywd i ran niezagojonych.

Niezmiernie doniosłą rolę w omawianych zagadnieniach gra fakt ciążenia nad umysłowością polską psychozy szlachetczyzny, całego tego psychologicznego kompleksu, który z jej ideowego podłoża się wyprowadza. Śmiem posunąć się do twierdzenia, że ta psychoza szlachetczyzny jest w obecnym momencie dziejowym najgroźniejszą naszą chorobą narodową. Utrudnia ona bowiem a u wielu nawet wręcz uniemożliwia właściwą ocenę naszej rzeczywistości polskiej, realnego układu sił społecznych.

Istota zaś tragizmu naszej rzeczywistości polega na tym, że, siłę przyszłej Polski usiłuje się za wszelką cenę oprzeć na grupach społecznych z jednej

strony nielicznych — a z drugiej strony już wszechstronnie wyżytych, schodzących z kart historii, bez jakiejkolwiek wewnętrznej siły ekspanzywnej — a jedynie chcących utrzymać się na zdobytych w przeszłości pozycjach — przy równoczesnym zapoznawaniu istotnych źródeł naszej narodowej i państwowej mocy.

Temu wszystkiemu towarzyszy kompletna ignorancja odnośnie do przeobrażeń i procesów, którym podlega dzisiaj warstwa chłopska. Pewne sfery inteligencji polskiej nie mają pojęcia o tym, co dzieje się poza rogatkami większych miast.

Atmosfera szlachetczyzny, przepajająca całą naszą umysłowość polską, wybitnie sprzyja bezkrytycznemu przyjmowaniu sztucznie fabrykowanym wieściom. Sfery te nie dostrzegają i nie potrafią należycie ocenić tych wielkich wartości jakie niesie ze sobą samodzielny ruch ludowy. Nie dostrzegają tego, że tam budzi się uśpiona przez wieki energia, że tam gromadzi się potężny rezerwoar sił społecznych, który przy naszym uwarstwieniu może się stać jedyną podstawą do gruntowania mocy przyszłej Polski.

Ruch ludowy doniedawna rozbity i rozproszkowany — obecnie sprawę jedności stawia na pierwszym miejscu. O tę jednolitą postawę chłopską rozbijają się wszelkie próby dywersji podejmowane od wewnątrz i z zewnątrz ruchu. Ruch ludowy wychodzi konsekwentnie z zaczarowanego koła kręcenia się około takich czy innych osób — i głównie swoje oparcie znajduje w krystalizującej się ideologii chłopskiej zwanej agraryzmem; program ruchu ludowego wyprowadzony z agraryzmu przez pisarzy tej miary co Maria Dąbrowska, został uznany za najbardziej wartościowy wytwór samodzielnej myśli polskiej.

Agraryzm, opierający się ideologicznie na szerokiej podstawie dwudziestokilkomilionowej rzeszy chłopskiej, stojący mocno na gruncie świata pracy czyli współdziałania chłopów z robotnikami, rzemieślnikami i pracownikami umysłowymi — może jedynie dać Polsce szeroką bazę rozwojową, jedynie z tej strony może wyjść pełna synteza naszego życia państwowego, narodowego i społecznego. Albowiem, tylko w oparciu o warstwę chłopską można będzie budować siłę państwa polskiego i podnosić potencjał jego obronności. Również tylko przy czynnym współdziałaniu ruchu chłopskiego może nastąpić gruntowna przebudowa naszego ustroju gospodarczego w duchu ideałów sprawiedliwości społecznej. Istniejący układ sił społecznych wskazuje na to, że bez czynnego udziału warstw chłopskich nie może być w Polsce mowy o jakichś szerszych twórczych poczynaniach w jakimkolwiek kierunku. Koncepcje ideologiczne oderwane od naturalnego podłoża społecznego są tworem sztucznym, który raczej spełnia rolę hamulca w rozwoju naszego państwa. Wszelkie konsolidacje narodowe robione od góry, połączone przy tym z przeciwstawieniem się siłą najbardziej żywym dążeniom mas — mogą tylko wywołać skutek odwrotny, powodując powiększanie się rozdźwięku między obywatelem a państwem.

Prawdziwa konsolidacja narodowa może przyjść jedynie od dołu poprzez związanie szerokich warstw społecznych z jej zakreślonymi celami. Dla Polski najdonioślejszym zagadnieniem jest to, ażeby budzącą się na wsi energię w związku z dźwiganiem się wzwyż potężnego masywu chłopskiego, wykorzystać dla celów państwowych i narodowych.

Nie twierdzę, że w ruchu chłopskim niema pewnych braków i niedomagań, że wszystko jest w należytym porządku. Wszystkie jednak wady i niedomagania są do usunięcia. Natomiast ruch chłopski ma jedną nieocenioną wartość, której nikt nie może zapoznawać ani też zastąpić, a mianowicie siłę rodzącej się ekspanzji ideowej i niewyczerpanych zasobów twórczych, świeżość i młodość oraz naturalny rozmach i entuzjazm.

Polska nie ma do wyboru wielu dróg, ma tylko przed sobą jedną: oprzeć główną podstawę swojego bytu na bazie chłopskiej i jej ideologicznych założeniach i tam szukać syntezy swojego rozwoju.

Stanisław Miłkowski.

Wielka polityka a kulisy życia prywatnego

W art. „Ja się tam polityką nie zajmuję" (EPOKA nr. 4) odsłoniliśmy sens wielkiej maskarady społecznej, która sprawia, że mnóstwo obywateli, rzekomo obcych polityce i odżegnywujących się od niej, w istocie rzeczy wysługuje się, na przekór swoim własnym intencjom, interesowi sfer możnych i uprzywilejowanych.

Co składa się na tę maskaradę?

Przede wszystkim, oczywiście, polityka gospodarcza, stojąca na straży świata możnych. Ale czy tylko ona? Obok polityki gospodarczej, jako nie mniej ważny czynnik, wspierający dotychczasowy układ społeczny, wskazaliśmy politykę seksualną: politykę, która poprzez celowe ustawodawstwo i celowo szczepione normy obyczajowe trzyma w ręku klucze od ustroju rodziny, od kodeksu życia płciowego, od drzwi szkół i zakładów naukowych. Czyż trzeba dodawać, że rodzina, szkoła i alkowa małżeńska są to jednocześnie trzy odcinki życia, co do których teokracja wszelkich wyznań rości sobie szczególne prawo nadzoru i opieki? Na tych trzech odcinkach spoczywa najistotniejszy węzeł przymierza, jednoczącego sfery zachowawcze z Kościołem. W. Z.

Władza kościelna od wieków jest w praktycznym posiadaniu tajemniczej prawdy, którą na światło dzienne dobyły dopiero badania psycho-analitycznе naszych czasów: prawdy, która mówi, że pobudliwość mistyczno-religijna jeśli nie rodzi się, to zasilana bywa, ze źródeł otamowanej energii płciowej, tożsamej w swej istocie, z twórczą praenergią życia; że wzloty nadziemskie bywają najczęściej odwetem powściąganych lecz buntujących się zmysłów. W perspektywie tej prawdy nie trudno dostrzec, że regulować kanony życia rodzinnego i w ogóle życia seksualnego znaczy tyleż, co wzmagać lub uszczuplać źródła skłonności religijnych. Niedarmo Kościół uczynił z pokus płci główną pokusę szatana. Niedarmo grzech płci zamianował grzechem pierworodnym, t. j. arcygrzechem, który zadecydował o upadku człowieka i skazał go na wieczyste poszukiwanie odkupiciela, zbawcy i — wodza.

Dogmat tego arcygrzechu sam przez się jest niewyczerpanym w ręku Kościoła skarbem odradzającej się ustawicznie władzy jego nad człowiekiem: zginając czoło grzesznika pod ciężarem wstydu, zmuszając go kajać się w skrusze i pokucie, jakże wyśmienitą jest szkołą i hodowlą tych wszystkich w du-

szy ludzkiej zadatków pokory i uległości, na których wspiera się autorytet, hierarchia, przymus, inkwizycja.

To też ze swego stanowiska Kościół ma głęboką słuszność, gdy wszędzie, gdziekolwiek może, walczy przeciw demonowi płci i gdy z walki tej czyni dogmat czołowy swej nauki. Krępując jednostkę ludzką w jej najrdzenniejszym instynkcie i piętnując instynkt ten, jako poszlakę bestialstwa, wysoko spiętrza on falę tłumionej energii, której odpływem i upustem rozporządzać może jeśli nie dowolnie, to zgodnie ze swymi zasadniczymi intencjami, kierując najpotężniejszy nurt siły człowieczej ku celom pozarozumowym i przeciwspołecznym.

Jeśli dawna praktyka i teoria socjalizmu pozostawiała najchętniej zagadnienie konfliktów seksualnych poza polem swego widzenia, to jakże inaczej czynił zawsze i czyni dotychczas Kościół, tym właśnie troskom i konfliktom udzielając jak najpilniejszej uwagi! Każda jego ambona, a zwłaszcza każdy konfesjonał jest posterunkiem, który pozwala wnikliwą sondę zapuszczać w poufne dziedziny przeżyć i rozterek jednostki; pozwala całą sferę jej najosobliwszych stosunków rekwirować na rzecz mistyki, wiary, ascezy i rezygnacji.

I gdy jednostka taka, skrępowana od wewnątrz kompleksem, którego nie rozumie, spotka się z demagogią uliczną, niosącą pozory posłannictwa, cóż dziwnego, że garnie się pod jej skrzydła, że ulega jej uwodzicielstwu? Garnie się ona nie dlatego, że mussolinizm lub hitleryzm imponuje jej bardziej, niż demokratyzm, ale dlatego, że przez oddanie się „wodzowi" i jego ideologii znajduje ulgę chwilową w swej ustawicznej rozterce wewnętrznej; że konflikt swój w inną przesuwa sferę i dzięki temu snadniej go może rozwiązać.

Nie trzeba być zawodowym psychologiem, aby zrozumieć drogi, jakimi faszyzm, ze swą namiętną deklamacją i malowniczą scenerią, trafia do serca zawiedzionej w małżeństwie lub niedokochanej (jak rzekłby Boy-Żeleński) kobiety drobnomieszczańskiej, która nigdy o polityce nie myślała. Jeszcze łatwiej trafi on do przekonania pannie sklepowej, której serce miota się w troskach miłosnych, uboga zaś umysłowość nie pozwala zorientować się w sytuacji klasowej. Bierzemy przykłady ze świata kobiecego, ale, rzecz prosta, mamy na widoku nietyle kobiety, ile pierwiastek kobiecy, który niepoślednią gra rolę także i w naturze mężczyzny, a na który przede wszystkim uderza, jako na stronę podatniejszą, ofenzywa faszyzmu, operująca tak rozległą skalą środków, skierowanych na podbój wyobrażeń, na opętanie uczucia, na wydobycie utajonych powikłań i urazów. Olbrzymi udział, jaki w powodzeniach faszyzmu ma sztuka dekoracyjna, przepych obrzędowości, maskarada kostiumowa, symbolika godeł i talizmanów, muzyka trąb i haseł, cała wreszcie jego teatralizacja życia, usiłująca wyosobnić człowieka od rzeczywistości — czyż nie świadczą o tym, że mamy tu do czynienia z werbunkiem ludzi, łaknących złudzeń, choćby najtańszych; zadośćuczynień, choćby zwyrodniałych?

Z takich, niewątpliwie, osób składały się owe 5 milionów wyborców niemieckich, których Hitler po raz pierwszy pociągnął do urn, i które dały mu ostateczne zwycięstwo. Była to ciżba drobnomieszczańska, mrowie ludzi niepolitycznych, po raz pierwszy wyrwanych z odrętwienia, w którym trzymało ich życie prywatne. Trzeba wszelako wmyśleć się w dolę tych ludzi, biorąc ją nie tylko od strony widowni, lecz i od strony kulis, aby zrozumieć, jak potężną acz utajoną i podziemną melodią w wielkiej polityce odzywa się owo życie prywatne, a więc — w istocie swej — życie rodzinne i płciowe: życie nie tylko głodnych żołądków, ale i głodnych serc, nieukojonych lub zszarganych tęsknot miłosnych, zdeptanych lub wykolejonych popędów Erosa.

Bo nie jest prawdą, że cierpienie wydziedziczonych i zdeklasowanych ogranicza się tylko do obszaru nędzy społeczno-gospodarczej; równoległym obszarem ich cierpienia jest nędza społeczno-seksualna, jest owo piekło kobiet, które przedstawiał Boy-Żeleński (nim zamilkł w Akademii), degradacja, wynaturzenie lub zahamowanie tego, co w człowieku jest źródłem radości życia, co bije z dna jego mocy. Zatruć lub otamować ten zdrój energii to — wydać człowieka na łup hazardu; to — przerzucić jego siły w bezdroża mistyki, spragnionej cudu i łaski, poszukującej mesjasza, proroka, führera.

Wiktor Zieliński

Czy może być coś ciemniejszego, niż ciemna głowa starego endeka?

Okazuje się, że i owszem. Tak; od starego endeka jeszcze ciemniejszy się zdarza poniektóry endek młody.

Jakiś pan Stefan Niebudek, popisujac sie w „Warszawskim Dzienniku Narodowym" (22.IV. 37) cennymi wrażeniami z „pielgrzymki do Rzymu", powiada:

„...widzieliśmy Welon Matki Bożej... zwiedzaliśmy znane z opisów Sienkiewicza miejsce męczeńskiej śmierci pierwszych chrześcijan w Kolosseum..."

Niebudek — niebożątko nie wie, że autor „Quo vadis", opisujący meczeństwo pierwszych chrześcijan za Nerona, nie mógł scen ich śmierci lokować w Kolosseum. Nie mógł dla tej prostej przyczyny, że za rzadów Nerona Kolosseum jeszcze nie istniało. Dźwigniete ono było dopiero przez cesarza Wespazjana, który przy budowie tego potężnego gmachu zatrudnił 30.000 żydów, wzietych do niewoli po zdobyciu Jerozolimy. Welon Matki Bożej nie powinien „Dziennikowi Narodowemu" przesłaniać elementarnych prawd wiedzy historycznej.

NA SŁODKICH WODACH ABSURDU

Pod różnymi szerokościami geograficznymi obwieszcza się od pewnego czasu w różnych krajach zmierzch kryzysu. Gdzieniegdzie nawet rozlegają się już głosy o niewątpliwym przeminięciu, o końcu kryzysu i powrocie prosperity.

Na taką, pono przełomową i pokryzysową chwilę przypadły obrady międzynarodowej konferencji gospodarczej w Londynie. Krążą o niej słuchy, że za parawanem oficjalnych obrad toczyła się — z inicjatywy Roosevelta — doniosła dyskusja nad stworzeniem zgodnego, międzynarodowego frontu ekonomicznego i zniesieniem kolczastych zasieków najróżniejszych utrudnień, zakazów, ograniczeń.

Niezależnie od owej zakulisowej akcji, sam oficjalny przedmiot obrad uczynił konferencję londyńską nader interesującą i godną bliższej uwagi. Przed-

miotem obrad był — cukier. Wszelkie sprawy rozległe, związane z jego produkcją, eksportem, cenami. Temat prozaiczny, lecz ogniskujący w sobie najdrażliwsze i najboleśniejsze zagadnienia i trudności gospodarcze.

Międzynarodowa konferencja cukrowa, choć niemal „pokryzysowa", przed zbyt wielkimi stanęła trudnościami, by mogła się powieść. Chcieć uporać się z zasadniczym złem przy stole obrad — to tak, jakby łagodną perswazją usiłowano wyleczyć chorego na raka. Zło trapiące gospodarkę światową, tkwi zbyt głęboko, by dało się usunąć powierzchowną kuracją.

W Londynie kłócili się przedstawiciele światowego przemysłu cukrowego o rynki eksportowe, o wysokość eksportu, o ceny. Przebieg obrad nietrudny był do przewidzenia. Każdy z delegatów żądał dla swego kraju najwyższego eksportu. Na odebranie sobie rynków zbytu nikt nie chciał, rzecz jasna, się zgodzić. Harmonia panowała tylko co do jednego: ceny należy utrzymać na wysokim poziomie.

Budujące widowisko londyńskie nie jest nowe. Nie po raz pierwszy i nie ostatni wielki przemysł demonstruje swą nieustępliwą wolę stosowania korsarskich metod konkurencji i żarliwą, nienasyconą wiarę w dogmat wysokich cen.

Naturalnym rzeczy porządkiem cukier nie mógł doznać w okresie kryzysu lepszego losu od innych dóbr wytwórczych. Nadprodukcja, spadek cen, wzrost zapasów — stały się tym rychlejszym udziałem światowego przemysłu cukrowego, że działały tu ponadto uboczne jeszcze czynniki: szybkie ulepszanie metod wytwórczych. Cukier podzielił smutny los kawy, użytej za opał do lokomotyw, mleka, wylewanego do ścieków, zboża, topionego w oceanie, bydła, ubijanego na żer dla psów i sępów. Ostatnią pomysłową metodę wymyślili Amerykanie.

Pełnokrwisty egoizm, zaprezentowany przez delegatów światowego przemysłu cukrowego w Londynie, fanatyczna ich wola dalszej obłędnej taktyki wysokich cen — posłużyć winny za naukę tym wszystkim optymistom i piewcom wracającej prosperity, którzy wieszczą kres kryzysu. Poprawa, jaka przejawiła się w różnych dziedzinach życia gospodarczego, nie oznacza wcale, że choroba przeminęła. Tym bardziej, że poprawę ową nietrudno wywieść z przyczyn aż nadto wymownych i specyficznych. Poprostu — z koniunktury zbrojeniowej.

Kryzys skończył się? Możnaby zgodzić się na taki pochopny wniosek, lecz z zastrzeżeniami: że przy najlepszej koniunkturze pokryzysowej nie potrafi świat w obecnym ustroju zatrudnić wszystkich próżnych rąk; więc Anglii pozostanie po kryzysie — jak obliczono — ponad milionowa armia stałego bezrobocia; Stanom Zjednoczonych pozostanie, rzecz jasna, kilkakroć liczniejsza rzesza chronicznych bezrobotnych; na setki tysięcy liczyć się będzie ta rzesza w innych krajach.

Konferencja londyńska wykazała dobitnie, jak traktować należy radosne wołania o końcu kryzysu. Choroba, gnębiąca świat, jest głębokim cierpieniem organicznym, nierozerwalnie związanym z obecnym ustrojem. Jak zwalczyć chorobę, nie zmieniając warunków, sprzyjających jej rozwojowi i trwaniu? Świadomie i celowo prześlepiając kwestię rozdziału dóbr, stwarza się ślepy labirynt i upiorną kwadraturę koła.

Stroskanym i obarczonym dotkliwymi kłopotami cukrownikom godzi się zaś — z okazji ich gremialnego pobytu w Londynie — zalecić pouczającą lekturę. Mianowicie sprawozdanie z ostatniego zjazdu nauczycieli szkół powszechnych południowej Anglii. Sprawozdanie to winno zainteresować potentatów trzcinowej i buraczanej wytwórczości cukrowej.

Otóż nauczyciele angielscy zdali m. in. sprawę z zimowej akcji dożywiania dzieci. Rozdawano mleko, jajka, cukier. W kilkunastu miejscowościach kilkaset dzieci nie wiedziało, jak postąpić z gotowanym jajkiem. Widziały je po raz pierwszy w życiu. Nie tylko jajka okazały się egzotycznym produktem. Kilkaset dzieci potraktowało kostki cukru, jako zabawki. Nigdy nie widziały cukru. Nie znały jeszcze w ogóle jego smaku.

Niech tedy cukrownicy, zebrani w Londynie, przeczytają owa relację, a potem... Potem niech czynią, co należy. W imię nietykalnego zysku niech — wślad za kawą, zbożem, mlekiem — topią cukier. Niech słodzą słoną wodę mórz i oceanów. Niech uparcie żeglują na słodkich wodach absurdu gospodarczego. *Józef Szpecht.*

Jasnorzewska: głos, który nie wtóruje żabom

„EPOKA" mało, jak dotąd, udzielała miejsca teatrowi.

Więcej od widowisk na deskach sceny pochłania ją dramat życia na scenie rzeczywistości. Bywają wszakże widowiska, w których życie — a przynajmniej pewne strony życia — przeglądają się tak bezpośrednio i dobitnie, że, mimowoli, człowiek myślący zatrzymuje się przy nich i zatrzymać się musi, jeśli nie chce pominąć okazji głębszego wejrzenia w oblicze naszych „czasów pogardy".

Takim widowiskiem, prawdziwie ciekawym i płodnym w rozmyślania, jest nowa komedia Marii Jasnorzewskiej, „Nagroda literacka": rzecz tak odważna i ostra w swej wymowie satyrycznej, że zapewne przypadkiem tylko — o ile wolno się domyślać — zabłądziła pod baldachim czcigodnej dyrekcji patriarchy Solskiego.

Przyznajmy wszakże z góry, że, jeśli postanowiliśmy tutaj zająć się bliżej komedią Jasnorzewskiej, to powodował nami nietylko wzgląd na jej wartość literacką i sceniczną. Niemniejszym powodem zainteresowania jest dla nas osobliwe, wrecz paradoksalne nieporozumienie, którego ofiarą stał się ostatni utwór utalentowanej poetki w oczach całej bez wyjątku warszawskiej krytyki teatralnej: utwór wyniośle osądzony przez recenzentów, którzy z rzadką jednomyślnością przeoczyli lub pominęli to, co w nim jest najbardziej znamienne, a co powinno było nietylko zająć ich uwagę, ale potrząsnąć za uszy i — niejednego zaboleć. Mówiąc o zgodnym osądzie krytyki, mamy na myśli bezprzykładny istotnie „front jednolity", który tym razem sięga dosłownie od „A. B. C." do „Zet", od Andrzeja Mikułowskiego do Boya

Żeleńskiego*). Czyżby to budujący duch Ozonu powiał przez głowy zazwyczaj skłócone i ku jednej, wspólnej pochylił je misie konsolidacji?

Zaczynamy komedię — pisze jeden z recenzorów — pod dobrymi auspicjami. Klemens Niedzicki, powieściopisarz i sportsman, dostaje nagrodę za utwór, który wysłała na konkurs jego narzeczona, panna Taida Serebrzycka, — wbrew woli autora. Klemens jest zrozpaczony... sukcesem.

Za pozwoleniem! — zaprotestuje widz, który czyta recenzję tę nazajutrz po powrocie z teatru. Nagrodzony autor jest zrozpaczony, ale wcale nie sukcesem. Rozpacz ogarnia go na myśl o styczności osobistej z ludźmi, którzy są jakby sukcesu tego po części odbiciem, po części wspólnictwem, po części balastem a napewno — jego nieuchronną koniecznością. Rozpacz i odraza ogarnia go na myśl o wejściu na ów rynek, gdzie redaktorzy-patrioci demonstrują swe przekonania na wypieraniu się własnych matek-żydówek, gdzie inni ekshumują swych rodzonych dziadów, aby sprawdzić ich genitalia, gdzie rzędami stoją krzykliwe stragany literackie, użerające się między sobą językiem, zaiste, nie dalekim od jazgotu przekupniów, ale bynajmniej nie owych „przekupniów słońca" z bajecznej noweli Rachilde'y.

W odruch rozpaczy swego bohatera Jasnorzewska wlała wzgardę i odrazę wszystkich wrażliwszych i szlachetniejszych jednostek wobec tej lawiny kału, jaka toczy się przez łamy niezliczonych czasopism i wydawnictw, podzwaniających srebrnikami, opasłych cynizmem, a co gorsza — przez kanały wynajętych przez nie dusz, zżartych przedajnością, gotowych zszargać i oplugawić wszystko, co wyrasta ponad wybredność ich smaku lub nad grzędę ich myśli.

Jakaż to perspektywa, istotnie, otwiera się przed pisarzem polskim, który ma ten *przywilej nienawistny*, że głębiej od innych czuje i szerzej myśli? Niech dostąpi odrobiny rozgłosu, a nazwisko jego niebawem staje się własnością uliczników pióra, którzy najusilniejszych dołożą starań, aby je rozszarpać, zamienić w łachman, wytarzać po zbiornikach najohydniejszych posądzeń, oskarżeń lub poprostu inwektyw. „U nas — powiedział stary Rzewuski — potrafią się ludzie przyjaźnić bez cienia wzajemnego szacunku". Gdy się przyjaźnią bez szacunku, cóż dopiero, gdy zaczną walczyć między sobą! A zwłaszcza, gdy — starym obyczajem — zbiegnie się hultajstwo w gromadę, aby kupą — kupą panowie! — uderzać na samotną wyższość.

Czyż trzeba przypominać, do czego w Polsce zdolny bywa czelny, zapluty karzeł, gdy czuje, że bezkarnie może spotwarzać Olbrzyma? Nie każdy oczywiście plugawiec, choćby najbardziej zapluty, ma tyle czelności, aby — jak owa ziemianka z Sandomierszczyzny — Naczelnego Wodza oskarżać o skradzenie pary żółtych butów**), ale też i nie każdy, jak Józef Piłsudski, zdoła karłów takich strącać w nicość przez samo ich nazwanie po imieniu. Regułą, nadającą charakter stosunkom naszym jest raczej ugoda z karłem, kompromis, zawierany z nizotą.

*) Od tego frontu jednolitego odchylił się poniekąd jeden tylko Wacław Syruczek, który w sprawozdaniu swym („Tyg Ilustr.") spróbował nieco bystrzej spojrzeć w oczy prawdzie, ujawnionej w komedii. Niestety, skończyło się na nieśmiałej próbie. Na wątłej i nieśmiałej próbie zdolnego pisarza, którego intelekt marnuje się, nie wspierany odpowiednią miarą charakteru.

**) Patrz *J. Piłsudski:* „Sprawa Wileńska".

Ten kompromis, ta ugoda ze szczególną szerzy się nagminnością w życiu literatury, wśród ludzi pióra, na wyjątkowe wystawionych pokusy ze strony możnych tego świata: możnych a bezwzględnych, jak możny i bezwzględny bywa pieniądz w rękach poganiaczy niewolników.

Cóż więc dziwnego, że pewnej formie kompromisu ulega i Niedzicki, bohater komedii Jasnorzewskiej: w tym właśnie tkwi realizm tej postaci, jej zgodność z tłem i charakterem środowiska. Kompromis, który wybiera Niedzicki, nie przynosi mu zaszczytu i nie świadczy o jego odwadze cywilnej, ale podkreśla, bądź co bądź, jego samolubne poczucie schludności. Skoro — rozważa on — trzeba w styczności z targowiskiem zabrudzić sobie ręce, to niech już lepiej zabrudzi je nie on, lecz kto inny, choćby jego najbliższy przyjaciel: bufon, pieczeniarz i głupiec, lecz nie bez wdzięku towarzyskiego.

I oto w lot staje układ osnuty na tym właśnie kompromisie. Niedzicki postanawia odstąpić przyjacielowi Niekawskiemu reprezentację swej pracy literackiej wraz z połową płynącego z niej dochodu, sobie natomiast zostawić jej istotę: tajemniczą, niezmąconą rozkosz twórczości. On, Niedzicki, będzie nieznanym nikomu, ale spokojnym i szczęśliwym pisarzem, zasłuchanym w głosy swej muzy. Przyjaciel będzie jego impresariem, jego biurem sprzedaży i propagandy.

Wszelako, kto sprzedaje, ten z czasem przystosowywa się do wymagań rynku. Kto zaś idzie za tendencją rynku, ten w prędce może zauważyć, że więcej od rzetelnych wartości poszukiwana jest tandeta. A gdy chodzi o dostawę i wyrób tandety, czyż potrzeba zwracać się do twórców? Impresario — Niekawski, zachęcony odgłosami rynku, ruguje z pola autentycznego pisarza i — sam wstępuje w jego rolę.

W tym miejscu wybucha rewolta recenzentów.

— To nie jest prawdopodobne! — woła jeden. To jest paszkwil! — krzyczy drugi. To jest poprostu farsa! — przekrzykują się wzajemnie trzeci, piąty i dziesiąty.

Tak, moi panowie! To, być może, nie jest prawdopodobne. Za to jest prawdziwe. Ta zaś farsa, do której chcecie sprowadzić komedię Jasnorzewskiej, jest upokarzającym obrazem naszego życia, w którym bufon i pieczeniarz spycha z areny artystę, pośrednik degraduje twórcę, najmita pióra, renegat i konfident wypiera wiernego swojej myśli pisarza.

Jeśli „Nagroda literacka" może nastręczać pewne zarzuty i zastrzeżenia, to tylko z powodu nadmiernie przejrzystej i uproszczonej budowy swej akcji, tak uproszczonej, że niemal aż sumarycznej, to

Zgon Zbigniewa Zapasiewicza

W niedzielę, dn. 25.IV. r. b. zmarł po długiej chorobie Zbigniew Zapasiewicz. Śmierć zabrała Go o wiośnie życia, gdy młode lecz już w walce zahartowane siły zdawały się rokować mu piękną i szczytną przyszłość pod szlachetnym sztandarem świata pracy. Zapasiewicz był przez szereg lat przywódcą Legionu Młodych, nadając tej organizacji charakter demokratyzmu i postępu. Gdy spostrzegł, że dla dążeń tych zaczęło braknąć miejsca w obozie który mu patronował, rozstał się z nim i wstąpił do P. P. S., poświęcając się głównie organizowaniu inteligencji pracującej.

Cześć świetlanej pamięci przedwcześnie zgasłego bojownika idei postępu i sprawiedliwości społecznej.

zn. poświęcającej bogactwo psychologiczne na rzecz wymowy logicznej. Ludzie i stosunki między nimi rysowane są liniami tak oszczędnymi, że rysunek zatrąca schematem.

Schematyzmem, upraszczającym sprawę, jest też rozszczepienie na dwie osoby tej spółki, jaką autor zawiera ze sprzedawcą i reprezentantem swej wytwórczości. Zazwyczaj obie te osoby mieszczą się w skórze jednego człowieka. Są to bowiem w rzeczywistości tylko dwie postawy duchowe, dwie funkcje odrębne w życiu tej samej indywidualności. Człowiek, który tworzy, bywa tym samym człowiekiem, który płody swej twórczości sprzedaje, gdyż w ustroju kapitalistycznym nawet pieśni poetów są towarem, mającym swą cenę rynkową. Ale stąd, że w duszy każdego pisarza żyją razem i Niedzicki i Niekawski, nie wynika bynajmniej, aby współżyli ze sobą w zgodzie i harmonii. Przeciwnie, zazwyczaj walczą i ścierają się ze sobą: impresario zmaga się z artystą; pisarz zmaga się z przekupniem. Walka — jak w komedii Jasnorzewskiej — jakże często kończy się kapitulacją pisarza, tryumfem bufona i oportunisty, lub co gorzej, płaza i pochlebcy.

Nie każdy, oczywiście, wynik walki jest tak brutalny, jak w komedii Jasnorzewskiej. Nie każdy bufon końcem ryja pochwyci czek nagrody literackiej. Ale też nie zawsze, aby *wypłynąć*, trzeba demonstracyjnie pluć w twarz swoim wczorajszym ideałom. Nieraz wystarcza poprostu zawiesić walkę, wycofać się z pobojowiska i *milczeniem* wtórować żabom, rechocącym w sadzawce. *A. Grot.*

FILM

„KOBIETY ZWYCIĘŻYŁY"

Film Feydera jest lekkim żarcikiem historycznym — ma w sobie słoneczność legend flamandzkich, jak gdyby opowiedzianych pięknym językiem de Costera. Nie byle to jaka sztuka — w filmie uchwycić styl epoki i umieć go wyrazić językiem obrazów. Reżyser Jacques Feyder potrafił uchwycić *styl*, ale z winy scenariusza rozminął się z *epoką*. Scenariusz bowiem rzezie, dokonywane przez Hiszpanów we Flandrii, przeniósł jedynie do przesadnej wyobraźni tchórzliwych mieszczan. Uważał natomiast za stosowne ukazać nam epokę, jako okres sielankowego współżycia hiszpańsko-flamandzkiego, a właściwie hiszpańskich żołnierzy i flamandzkich kobiet. Ten fałsz historyczny byłby ogromnie pomniejszył wartość filmu, gdyby Feyder nie wynagrodził fałszywego założenia scenariusza lekką, dowcipną satyrą na mieszczaństwo — i to nie tylko na mieszczaństwo flamandzkie XVII w.

Jednak niedociągnięcie o tyle zaszkodziło filmowi, że zmusiło Feydera do daremnej pogoni za historią po ulicach miasta flandryjskiego, po „kocich łbach" rynku, aż do ratusza miejskiego, gdzie wprawdzie historii nie dogonił, ale odnalazł Karola de Coster. Bo czy narada kobiet w sprawie przemyślnej „obrony miasta" nie przypomina rady „białogłowskiej" w Ukle, a typy mieszczańskie czyż to nie Wesołe Bractwo Tłustej Gęby? A sama sytuacja, w której kobiety, wobec tchórzostwa mężczyzn, biorą na siebie „walkę z nieprzyjacielem", czy nie przypomina legendy o żelaznym kle? Sytuacje i postacie filmu „Zwyciężyły kobiety" — oddane wspaniale, przepojone uśmiechem, subtelnym humorem, są jak gdyby jaskrawym przeciwstawieniem rzeźniczego „dowcipu" niemieckiego doby hitlerowskiej.

Jacques Feyder, reżyser wykształcony na najlepszych wzorach kinematografii współczesnej, wykonał film *kulturalnie*, unikając jakichkolwiek dłużyzn, zręcznie operując światłem i cieniem.

Kaz. L.

WYPRAWA PO „KOKS"

Szary świt cicho spłynął na wolno budzące się Powiśle. Czasem po „kocich łbach" Solca zaturkotała furmanka, wlokąca się na targ pod górę przy przy ul. Kopernika, powszechnie zwany „Ordynakiem"; czasem rozległ się miarowy, ciężki odgłos kroków zdążającego do pracy robotnika; tu i tam skrzypnęły zardzewiałe zawiasy okiennic i drzwi sklepików wpuszczając do wewnątrz garść mętnego światła i kobietę z białym tobołem na plecach— mleczarkę. Przed kooperatywę spożywczą na Solcu pod 81 zajechał furgon z pieczywem. Głośne: „pr-r-r!" i „otwierać!" rozległo się ostro, obiło się o błyszczące szyby dwóch stojących naprzeciw siebie rzędów trzypiętrowych kamienic: długiego, z dużych dwóch kamienic zrośniętych z sobą — domu „Kajzera" po jednej stronie i bliźniaczo podobnej pary kamienic „Kołłątaja" — po drugiej stronie ulicy. Krzyk furmana był na tym skrawku ulicy jakgdyby hasłem do wstawania mieszkańców. Niebawem otworzyły się drzwi kooperatywy i piskliwie pani Kaczyńska rozpoczęła swą codzienną kłótnię z piekarzem, znoszącym po schodkach do sklepu napełniony pieczywem kosz. Rownocześnie rzędy okien kamienic pacnęły o mur energicznie otwieranymi lufcikami, przez które buchnął z siłą gwar głosów, pisków i wrzasków. Pani Waciakowa, lokatorka domu „Kajzera" wychyliła rozczochraną głowę z lufcika na trzecim piętrze i podtrzymując rozchełstaną na piersiach koszulę zawołała w stronę kooperatywy:

— Pani Kaczyńska kochana, dla mnie dwa „sitki" jak zawsze. Mańcia tam zaruteńko poleci. Moja złociutka, dobrze?!

— Stara wariatka — zasyczał furman, siadając na koźle i z pasją podcinając konie. — Co dnia gębę drze, jakby jej zara kto całe 50 chlebów miał w mig zeżreć.

— Franuś! Franuś! — rozbrzmiał wysoki dyszkant Krukowej, mieszkanki domu Kołłątaja na drugim piętrze — tylko kwartę i pół chleba... i reszty przynieś!... — Może siedmioletni chłopak, dźwigający wielki biały dzbanek obejrzał się leniwie w stronę wołającej przez lufcik kobiety i skuliwszy ramiona ruszył na drugą stronę ulicy do sklepiku, mieszczącego się w domu „Kajzera". Nie uszedł jeszcze do pierwszej pary lśniących szyn tramwajowych przecinających ulicę, gdy znów ten sam głos zakrzyczał:

— Franiu, niedojdo jedna, uważaj, tramwaj idzie, mam ja z tym bęcwałem!

Franek tym razem nawet nie odwrócił głowy. Udał, że nie słyszy. Ściskając mocno ucho dzbana szedł wolno nie oglądając się. — Tylko gębę drzeć potrafi w oknie — myślał chłopak. Zamiast wydzierać się w lufciku i pilnować mnie sama wzięłaby dzbanek i poszła do sklepu. Tam już prawie wszystkie dzieciaki są gotowe „na koks"... Potem sam będę musiał ganiać jak głupi... — W sklepie natarczywie upominał się o jaknajszybsze załatwienie go. Spieszył się. W powrotnej drodze do domu przed oknem swego mieszkania szedł wolno, jeszcze wolniej niż przed tym, gdy jednak wiedział, że matka już go nie widzi przyspieszył ile sił w chudych pałąkowatych nogach starczyło. — A niech się powścieka — szeptał sam do siebie uparty dzieciak.— Na koks idź, do sklepu idź, mróz nie mróz, wszystko jedno. A matka tylko w oknie dyryguje. A niech... W rogu podwórza prawie pędem wyminął zbitą gromadę dzieci.

— Zara będę. Jeno to tylko do mieszkania wrzucę — zawołał — poczekajcie!

— Ale już! — odezwał się najstarszy chłopak z gromady. — Tylko, żebyś zara wracał, bo pójdziemy!

Nie upłynęło nawet i pięć minut, gdy Franek z dużym workiem pod pachą wpadł między dzieci.

— No!Chodźmy — krzyknął — bo Czerniakoszczaki jak nic co lepsze zabiorą, już szósta dochodzi.

Duża gromada dzieci ruszyła ku bramie. Prowadził najstarszy wśród nich — Sylwek Maryniak, chłopak szczupły, liczący około czternastu lat, dość wysoki. Ciemne, spadające na kark włosy przycisnął mocno małą, przekręconą na bakier nieokreślonego koloru włóczkową czapkę, ręce włożył do kieszeni gęsto łatanego palta, z którego już dawno był wyrósł; przykrótkie rękawy sięgały ledwie za łokcie. Długie, brudne, poplamione spodnie z dwoma jaśniejszymi, podłużnymi oknami łat na siedzeniu i ogromne, pozwiązywane sznurkami półbuty ciągle spadające z bosych nóg dopełniały stroju. Przez ramię przewiesił długi, gruby worek i pogwizdując, a od czasu do czasu gawędząc z tym lub owym kroczył poważnie jak na starszego przystało. A za nim cicho rozmawiając między sobą postępowała gromada obdartych, w łachmany odzianych dzieci. Każde z nich miało worek lub duży koszyk wiklinowy pod pachą i w zmarzniętej, małej ręce niosło pogrzebacz lub kawał grubego, na końcu zakrzywionego drutu. Szare, wychudłe twarze, zaspane oczy, zgarbione plecy, którym brak sił do wyprostowania się w chłodny, mglisty poranek...

Wyszli na czarną, żwirową drogę nad Wisłą i skierowali się w stronę Soleckiego Młyna.

— No! prędzej-że, do Mącznej jeszcze kawał! Jak będziecie się tak guzdrali to i nie będzie po co tam iść — przynaglał Sylwek Maryniak. — Matka mówiła, że już dawno wozy z elektrowni wracały do Tamki. Same śmiecie nam zostawią. — Chłopcy, a była ich w gromadzie ogromna większość, po paru minutach wysunęli się o dobre 20 metrów przed dziewczynki.

— Franuś, Franuś! — zawołała, mała sześcioletnia dziewczynka głosem tak prosząco-płaczliwym, że wszyscy chłopcy zatrzymali się.

— Widzisz ją! — krzyknął Sylwek — tylko kłopot z nią zawsze. Mówiłem, żeby pętaka z sobą nie brać, nie mógł to Stasiek iść za nią? A teraz tylko ryczyć nam będzie, smarkula!

— Franiu — gdy zbliżył się chłopiec poczęło się tłumaczyć maleństwo — Stasiek nasz już drugi dzień gdzieś na praktykę poszedł, Maryśka chora na świeżbę i Rysiek taki mały — to mamusia tyż odejść z domu nie może... to ja tylko sama. Ale wy tak lecicie, nogi już bolą...

Nie dużo większy od niej Franek wziął ją za rękę i pomógł podbiedz do gromady chłopaków.

— Te, Sylwek — zwrócił się do Maryniaka — niech już gówniara nie beczy, weź ją tam na przód. Nie pożałujesz — dodał szepcąc mu do ucha — jak Sabki ojciec przyjedzie kiedy furą pod bramę, to znów się aż do Nowika przewieziem, no nie?...

Tymczasem minęli już Solecki Młyn i Wilanowską... Jeszcze kilka dużych, płaskich, dzikich trawników nadwiślańskich i ogromne kupy śmieci oblężone przez gromady ludzi ukazały się z dala. Sylwek zapomniał o Franku, Franek o Sabce i jej ojcu, chłopcy o pozostałej w tyle grupie dziewcząt. Kto tylko mógł biegł pędem, ile tchu, byleby tylko jaknajszybciej dopaść do tamtych, już pracujących przy śmieciach ludzi.

— Oho! już leci szarańcza — zakrzyczała opatulona w strzępy łachów przeróżnych, brudnych, cuchnących stara kobieta, prostując krzyże zbolałe od ciągłego schylania. — A to skaranie boskie z tymi bachorami, a bodaj was siubry poskręcało. Znów z pustą torbą do chałupy pójdę... — I krzycząc, i wymachując długim żelaznym pogrzebaczem zasłaniała sobą dostęp do świeżo widać przywiezionej kupy śmieci, bo jeszcze dymiących śmierdzącą, zatęchłą, ciepłą parą.

Lecz gromada oblepiła już dokładnie wszystkie wolne miejsca i nie zwracając najmniejszej uwagi na krzyczącą kobietę i jej wyzwiska zabrała się energicznie do pracy. Małe pogrzebacze i pozaginane druty rozdrapywały szybko kupy parujących śmieci, chciwe oczy szukały kawałków drzewa, tektury, węgla, koksu, grubych papierowych pudełek — wszystkiego, co może podtrzymać ogień pod blachą dla ogrzania mieszkania. Szczupłe, dziecięce ręce szybko chwytały dostrzeżone odpadki i skrzętnie chowały do worków. Zmarznięte, prawie gołe nogi zapadały się głęboko w ciepłe śmiecie i raz po raz rozgrzebywały je wznosząc tumany śmierdzącego kurzu. Zgrabiałe, małe ręce napełniały worki byleby prędzej, byleby tylko co najlepszego wybrać z zajętego kawałka śmietniska. Tylko od czasu do czasu radosny krzyk najmłodszej Sabiny przerywał na chwilę ciszę: — jaki duży koks, jaki duży koks znalazłam! — I znów tylko granie pogrzebaczy o twardsze kawałki odpadków, o pobite butelki i stare, dziurawe czajniki i garnki.

Z dala dochodził gwar huczącego miasta. Ostre dzwonki tramwajów, turkot ciężkich fur po bruku, sygnały taksówek, krzyki, nawoływania. Od strony zasłanej krami Wisły płynął wilgotny, przejmujący zimnem wiatr. Szum leniwie płynących ocierających się jedna o drugą kawałków kry, czasem mocniejszy trzask pękającego lodu... Dopiero początek marca, jeszcze tak parę tygodni trzeba będzie zbierać śmieci „koksem" zwane na opał. Aby tylko do wiosny, aby do wiosny...

Tu i tam odezwały się fabryczne syreny. Dochodziła godzina 8-a. Sylwek Maryniak pierwszy

napełnił swój worek. Sabina, choć ze wszystkich najmłodsza już nie wiele miała wolnego miejsca w swoim worku. Trafiła dziś na dobrą furę śmieci; jak rzekł Sylwek — „na przytyka z elektrowni".

— E, Sabka — zapiszczał Franek — już idziemy. Czy kto po ciebie przyjdzie?

— A tak, — odpowiedziała umorusana i zaczerwieniona od wysiłku mała — mamusia pewnie. Będzie co dźwigać — i uśmiechnęła się ciemnymi, błyszczącymi oczami.

— Patrzcie! Chwalipięta — syknął Jasiek Sołtysiak — jak po drodze to łzy leje kubłami, a jak gębe w fure wsadzi i wyniucha co najlepsze to zara chwali się jak najęta.

Tymczasem dzieci dopełniły worków i uginając się pod ich ciężarem długim sznurem wyciągnęły się nad brzegiem Wisły. Zgięte we dwoje, każdy z dużym, pękatym worem na plecach, niemal nosami dotykając ziemi szły gęsiego jedno za drugim, ledwo posuwając nogami, wsparte na narzędziach swej pracy — pogrzebaczach. Gdy już ostatnie z nich zniknęło za szarym murem Soleckiego Młyna na polu usianym kupami śmieci ukazała się matka Sabiny — kobieta, o ruchach energicznych, prędkich, zdradzających młody jeszcze wiek i o twarzy chudej, żółtej, pomarszczonej, z oczyma głęboko zapadłymi pod jasnym, wysokim czołem.

— Sabka, leć naprzód — rozkazała dziecku.— A bacz, żebyś gdzie pod tramwaj nie wpadła. Leć koło kościoła naprzeciw młyna to może jeszcze ojca dogonisz. Podwiózłby cię do domu, bo do ochrony już czas.

Dzieciak pobiegł we wskazanym kierunku, lecz już przy Wilanowskiej zwolnił biegu. Chude, drżące ze zmęczenia, zmarznięte nogi nie mogły posłusznie nadążyć za wolą dziecka.

— Leć — szepnęła Sabka. — Jak tu lecić, jak kolki wparły się w żebra i nogi się uginają. A to wszystko przez ten pośpiech. Śniadania jeszcze nie jadłam, byle prędzej... Leć, leć...

Z szeroko otwartej bramy Soleckiego Młyna wytoczył się wielki wóz zaprzężony w dwa siwe konie. Furman otulony w ogromną, zamączoną burkę uchylił czarnej, barankowej czapki przed wielkimi drzwiami stojącego naprzeciw bramy młyna kościoła i rozejrzał się wokoło.

— Tato, tato! — zakrzyczała Sabka. — Ja tu!

Wóz zatrzymał się. Dziecko zebrało resztki sił i podbiegło do ojca. Dwie czarne, mocne, żylaste dłonie chwyciły małą wpół, uniosły nad ziemię i uradowana Sabka usadowiła się ojcu na kolanach. Krótkie: „wio-o" i konie ruszyły z kopyta.

— Już myślałam, że nie spotkam tatusia, — zaczęła mała — ale jak tatuś zdjął czapkę, to zaraz poznałam po łysinie... A dziś to dużo „koksu" nazbierałam. Prawie sam koks. Akurat trafiłam na śmieci z elektrowni. Tam mamusia cały worek niesie... Tylko tak jakoś w bokach kłuje... Ale jeszcze zdążę do ochronki. Prawda?

Ojciec nie odrzekł ani słowa. Śmierdzące zatęchłym brudem śmietników łachy dziecka i podrapane, czarne, zmarznięte, maleńkie ręce bólem przejmowały serce człowieka.

— O, życie, życie — wykrztusił wreszcie, gdy wóz zatrzymał się przed bramą domu „Kołłątaja". Sabka zeskoczyła na bruk i oddawszy umorusaną ręką ojcu całusa pognała w podwórze, przez które w kierunku czterech klatek schodowych wlokły się noga za nogą szeregi małych, obdartych, zgarbionych postaci z pękatymi worami „koksu" na plecach.

Czesława Kamińska

Trud Stefanii Sempołowskiej

Stefan Żeromski, jeden z pośród wielu tysięcy więźniów politycznych, którzy korzystali z Biura Pomocy Więziennej, uwiecznił sens tej instytucji w drugim tomie „Urody życia", w poufnej rozmowie Piotra z Darzewskim: „Zdesperowani ludzie budują po nocy wilcze doły, żeby nad ranem w nie wpaść, albo przez nieopatrzność w rzeczach walki i porażki wtrącić innych. Musi być ktoś, ktoby na zasadzie obowiązującego prawa zdejmował w wilczych dołach tych, co się już na pal nabili. Otóż my z Wiktorem wzięliśmy się do tego miłego zajęcia". W ten mniej więcej sposób tworzyło się — używając określenia wielkiego pisarza — „ministerium polskiej biedy", t. j. Biuro Pomocy Więziennej, którego kierowniczką, urzędującą w permanencji przez lat czterdzieści pięć, była Stefania Sempołowska.

Dziś, po zamknięciu tej instytucji, nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż Stefan Żeromski po wyjściu z więzienia obdarzył ów urząd „polskiej biedy" klejnotem swego wielkiego serca: przekazał jej rękopis „Słowa o Bandosie" *).

W czasach niewoli, kiedy pod zaborem rosyjskim życie w obrębie murów więziennych powiązane było mnóstwem węzłów myślowych i uczuciowych z życiem nazewnątrz, pomoc więzienna była nakazem moralnym i władczym głosem społecznego sumienia, co potęgowało ofiarność ogółu na ten cel, która też płynęła przez długie lata nieprzerwanym strumieniem. Przez dziesięciolecia rosły i zmieniały się zastępy więźniów politycznych, ale bardzo wielu z nich, doznając dobrodziejstw bezimiennej opieki, łatwiej znosiło brzemię osamotnienia. Duszą tego dzieła nieustającej pomocy, trwającej niemal pół wieku niezmiennie i we wszelkich warunkach, była Stefania Sempołowska. Jej niewyczerpana energia i bezmiar poświęcenia, piękno tej duszy, rozjaśniającej mroki więziennego życia, budziły nawet u wrogów uznanie i szacunek.

Po odzyskaniu Niepodległości dopływ ofiar ustał niemal zupełnie. Po ogłoszeniu amnestii w styczniu 1936 r., ogół po raz pierwszy od chwili powstania Niepodległej Polski pospieszył wzorem lat dawnych z pomocą, zakrojoną na większą skalę. Wpływały do Biur Pomocy Więziennej ofiary w różnej postaci ze wszystkich sfer społeczeństwa: rozpiętość ofiar pieniężnych była bardzo znaczna i wahała się między groszami a setkami złotych, nadsyłano obficie produkty żywnościowe, duże ilości odzieży, obuwia, a wielu lekarzy zaofiarowało bezpłatnie pomoc więźniom zwolnionym na mocy amnestii.

Wyobrażenie o dobrodziejstwie tej pomocy dać może fakt, że amnestiowani opuszczali masowo więzienia w porze zimowej, w styczniu i lutym, a przeważnie wychodzili bądź chorzy, bądź wynędzniali,

*) Pierwsze wydanie „Słowa o Bandosie" sprzedawane było wyłącznie na rzecz „Pomocy Więziennej" i z tego źródła osiągnięto około 1500 rb. Tak hojny dar złożył najbogatszy nędzarz, Maurycy Zych (pseudonim ówczesny Żeromskiego).

często bez palt, przede wszystkim zaś bez żadnych środków do życia. Miarą zaś tej pomocy może być to, że dzięki zmienionej postawie społeczeństwa korzystało z niej około dwóch tysięcy więźniów.

Zasadniczo Biuro Pomocy Więziennej opiekowało się: 1) więźniami przebywającymi pod śledztwem, odbywającymi karę, a także więźniami w przede dniu ich zwolnienia; 2) b. więźniami, zwolnionymi do rozprawy sądowej lub przerywającymi odbywanie kary.

Działalność humanitarna Biura Pomocy Więziennej obejmowała nie tylko najróżniejsze kategorie więźniów politycznych w granicach Polski, ale wykraczała daleko po za rubieże kraju i drogą czynności zastępczych sięgała do Polaków, przebywających w wielu więzieniach sowieckich. Jeżeli opieka w kraju ojczystym nad więźniami bez różnicy przynależności partyjnej była tylko dziełem czystego miłosierdzia, to opieka nad Polakami, wtrąconymi do więzień na dalekiej obczyźnie, nabierała szczególnych wartości moralno-patriotycznych. Pani Katarzyna Pieszkowa, wdowa pa Maksymie Gorkim, jako delegatka Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie, pozostając w ścisłym porozumieniu z Stefanią Sempołowską, zajmowała się tam wymianą więźniów politycznych, poszukiwaniem rodzin polskich, wyjednywaniem dokumentów, pozwoleń, ulg wszelkiego rodzaju. Tej niestrudzonej czujności i opiece wiele setek więźniów-Polaków z tamtej strony granicy zawdzięcza swoje ocalenie. Wspomnimy tu przy sposobności i nawiasowo, że tylko dzięki wzajemnym pomocom oddziałów Czerwonego Krzyża udawało się rozrywać sieci polityczne, zarzucane na wybitniejsze lub znaczniejsze osobistości. Tytus Filipowicz np. został zwolniony na usilne prośby Stefanii Sempołowskiej, co było triumfem nielada, jeżeli się zważy, że chodziło tutaj o posła Rzeczpospolitej Polskiej w Gruzii. Tytus Filipowicz, aresztowany w Tyflisie w końcu 1919 r. i przewieziony do Moskwy, przesiedział tam kilka miesięcy w więzieniu. Tą samą drogą, dzięki staraniom Stefani Sempołowskej, uzyskali wolność i możność powrotu do kraju: pani Sagatowska, ksiądz Lewiński, matka dr. Jurewicza, krewna dyrektora Żabińskiego, matka sędziego Matusewicza z Wilna, bracia byłych prokuratorów: Smogorzewskiego i nieżyjącego już Kowalewskiego i wielu, wielu innych, których wyliczać tutaj niepodobna.

Dziś ta działalność została przerwana przez równoczesne zamknięcie placówek Czerwonego Krzyża w Warszawie i w Moskwie. Nie przesądzamy sprawy i nie wiemy, czy na naszym gruncie nie wytworzy się jakaś inna organizacja pomocy więziennej, ale w każdym razie rzeczą jest pewną, że położenie więźniów polskich na terenie sowieckim wraz z ustąpieniem pani Pieszkowej pogorszy się znacznie.

Czterdziestopięcioletni trud życia Stefanii Sempołowskiej, niepodzielnie poświęcony więźniom ideowym, których nie pytała nigdy o przekonania polityczne, czeka na wyczerpujące zbadanie i na ocenę. Gdy zgłębi się całą wartość moralną tej pracy i ogarnie się drogę życia Stefanii Sempołowskiej, ukaże się jedna z najpromienniejszych postaci polskich ostatniego półwiecza, ogniskująca w swojej duszy rzadkie połączenie wielkiego rozumu i wielkiego serca.

Henryk Lukrec.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

UPOKARZAJĄCA ODMOWA

W roku bieżącym uniwersytet w Getyndze obchodzi dwuchsetlecie swego istnienia. Imię tej wszechnicy rozsławili znakomici jej profesorowie matematycy. Przed przewrotem hitlerowskim utrzymywali żywe stosunki z wieloma uniwersytetami i akademiami umiejętności.

Senat Getyngi zaprosił na uroczystości tego dwuchsetlecia uniwersytety wielu krajów, ale dotąd spotkał się już z odmową wszechnic angielskich, holenderskich i amerykańskich, które ceniąc wysoko godność i niezależność nauki, postanowiły nie zaszczycać obecnością swoich przedstawicieli w przybytkach wiedzy, gdzie prawda jest poniewierana i oddana w jarzmo reżymu.

CURIOSUM

Czytamy w *„Robotniku"*:

„Komunikat Informacyjny" Stow. Dowborczyków w Warszawie podaje pod datą 17 kwietnia, że Walny Zjazd Stow. Dowborczyków uchwalił: nadać Krzyż I Polskiego Korpusu Wschodniego generałowi Franco, „Naczelnemu Wodzowi Hiszpanii Narodowej".

Tego jeszcze nie było.

Krzyż zasługi formacji POISKIEJ ma zdobić pierś człowieka, który w POROZUMIENIU Z OBCYMI PAŃSTWAMI podjął bunt przeciw własnej Ojczyźnie i zalewa ją od miesięcy potokami krwi".

DWIE TRZECIE KSIĄŻKI...

W świetle „Statystyki druków za rok 1935", wydanej przez Główny Urząd Statystyczny, średni nakład książki w Polsce wynosi 2.767 egzemplarzy.

Od przeciętnej tej widzimy odchylenia w dół i w górę. I tak dla książki naukowej nakład wynosi zaledwie 610 egzemplarzy, dla powieści — 2.633 egzemplarzy, dla podręcznika — 6.927, dla książki popularno-naukowej 4.779 egzemplarzy.

Ogółem wydano w ciągu roku w Polsce — 7.460 książek. Łączny nakład — 20.645.700 egzemplarzy.

Ile książek przypada na „jedną głowę"?

20 i pół miliona książek rozparcelowanych na 33 miliony obywateli — daje niespełna dwie trzecie książki na głowę...

„Epoka" jest pismem, stanowiącym własność jej abonentów. Na tym zasadza się jej niezależność.

„TRYUMF DMOWSKIEGO"

Ppłk. Jan Kowalewski, „szef sztabu" Obozu Zjednoczenia Narodowego, oświadczył w wywiadzie dziennikarskim co następuje:

„Obóz ma zjednoczyć Polaków i stosunek obozu do Żydów musi być taki, jak organizacyj sjonistycznych do Polaków. Włożenie w usta moje słów, że „cechą żydostwa ma być tylko przyznanie się do tej narodowości" i że „osoba wyznania mojżeszowego i pochodzenia żydowskiego może do obozu należeć, o ile się przyznaje do narodowości polskiej" — nie odpowiada prawdzie.

„Mówiąc o sprawach organizacyjnych oświadczyłem, że przyjmowanie do obozu będzie oparte na ścisłej selekcji, że zgłoszenie akcesu często nas wprowadza nawet w kłopot, gdyż nie możemy i nie uznamy wszystkich akcesów. Jeśli więc tak utrudnione będzie przyjmowanie do obozu — jak można utrzymywać, że „przyznanie się do narodowości polskiej" może otwierać drzwi do obozu?

„Odpowiadając na pytanie dziennikarza, czy może być Polak innego wyznania niż katolickie, które wyznaje ogół Polaków z małymi wyjątkami, miałem na myśli te wyjątki. Przecież mamy zasłużonych Polaków wyznania ewangelickiego, prawosławnego, mahometańskiego, czy nawet mojżeszowego. Jednak zasady christianizmu, na jakich opiera się deklaracja płk. Koca będą czynnikiem decydującym o doborze członków.

„Stwierdzeniem polskości w wyjątkowych wypadkach musi być nie tylko przyznawanie się do narodowości, lecz ofiara krwi, dobrowolnie przelewanej lub inne dowody ofiar, składanych na ołtarzu ojczyzny i czynu całego życia, świadczących o rzeczywistej przynależności do narodu polskiego.

„Mamy przecież w Polsce Żydów, którzy walczyli o niepodległość kraju i zrzeszeni są w stowarzyszeniu Żydów, uczestników walk o niepodległość Polski.

„Odnosimy się z szacunkiem dla tej karty ich życia, która świadczy, że są dobrymi obywatelami, szanujemy ich również za otwarte przyznawanie się do swej narodowości żydowskiej. Rzecz prosta, że nie mogą oni należeć do Obozu Zjednoczenia Narodowego. Tym bardziej Żydzi, którzy nie mają za sobą takich dowodów przywiązania do Polski, nie mogą być uprzywilejowani na podstawie przyznawania się do narodowości polskiej".

Innymi słowy, w „wyjątkowych wypadkach" przyjęcie do O.Z.N. obywatela wyznania czy pochodzenia żydowskiego zastosowane będzie „stwierdzenie polskości" przez przyjmujących. Kandydaci tacy na członków O.Z.N. musieliby się poddać egzaminowi, które ich własnego poczucia polskości nie weźmie pod uwagę.

Z powodu oświadczenia płk. Kowalewskiego pisze redaktor *„Robotnika"* Mieczysław Niedziałkowski:

„Politycznie powiem jedno: komunikat p. płk. Kowalewskiego jest oczywistym zaprzeczeniem całej pracy Józefa Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa w latach 1918 — 1922. O ten sam nie o inny — problem toczyła się walka w dniach wyboru Gabriela Narutowicza na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej. Ulica Matejki 3 w Warszawie (siedziba O. Z. N.) powiewa białą chorągwią w kierunku tych ówczesnych akademików, którzy wtedy, w r. 1922, „okupowali" dojście do gmachu Sejmu, by powołany wolą Zgromadzenia Narodowego Prezydent Rzeczypospolitej nie mógł złożyć ślubowania, jako że głosowali za jego kandydaturą obok Polaków także Ukraińcy, Żydzi i Białorusini.

Notuję zatem tryumf koncepcji... Romana Dmowskiego".

PO ZAWIESZENIU LIGI OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA

Po zawieszeniu Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela przez starostę grodzkiego, Andrzej Strug, w imieniu Zarządu Głównego Ligi wystosował do Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę pismo, z którego przytaczamy ważniejsze wyjątki:

„Co się tyczy zarzutu udzielania pomocy amnestiowanym więźniom politycznym, to — o ile nam wiadomo — wspieranie finansowe takich osób nigdzie w ustawodawstwie polskim nie jest kwalifikowane, jako czynność karygodna i „zagrażająca porządkowi i bezpieczeństwu publicznemu". Akcję udzielania pomocy amnestionowanym więźniom politycznym Liga rozwijała w istocie przez pewien czas, począwszy od stycznia roku ub., powoławszy do życia specjalne autonomiczne Komisje Pomocy Amnestionowanym Więźniom Politycznym. Rzecz oczywista, działalność tych komisji była publiczna, jawna i imprezy dochodowe, urządzane przez nie, uzyskiwały aprobatę władz kompetentnych, —

„Całokształt działalności Ligi miał jedynie cele humanitarne na względzie, całkiem niezależnie od istniejących takich lub innych kierunków politycznych. W tym sensie działalność jej była apolityczna, zmierzała jedynie do ugruntowania u nas poszanowania dla tak doniosłych wartości moralnych, jak prawa człowieka i obywatela. W każdym wypadku, gdy Liga uważała, że prawa te narażone są na szwank, zabierała publicznie głos, kołatała do władz, składała memoriały, słowem działała, uciekając się do przewidzianych w statucie środków. Liga kierowała się głębokim przeświadczeniem, że tylko Państwo, posiadające świadomych swych praw obywateli, — szanujących swą wolność oraz godność ludzką i obywatelską, może liczyć na spełnianie przez nich obowiązków wobec społeczeństwa i Państwa, że tylko takie Państwo, stanowiące zespół ludzi — pełnych poczucia obywatelskiego, może być silnym i zdrowym organizmem społecznym.

„Cała działalność Ligi miała na celu wychowanie dla wolnej Polski wolnego, świadomego swej godności ludzkiej, obywatela.

„Dlatego też, odpierając stanowczo zarzut rozwijania akcji, sprzecznej z istniejącymi ustawami i przepisami, Zarząd Ligi nie wątpi, że decyzja p. Starosty Śródmiejsko - Warszawskiego, zawieszająca działalność Ligi Obrony Człowieka i Obywatela, zostanie uchylona, o co niniejszym prosimy".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu T. S. w Warszawie: Uwag Pana, skądinąd słusznych, nie będziemy drukowali. Nie z każdym można polemizować.

Panu A. C. w Lublinie: O „Nauczycielach" pisaliśmy w Nr. Nr. 1 i 5 „Epoki" z r. b.

Panu J. R. w Lublinie: Wszystkie numery wysłaliśmy.

Pani Z. B. w Krakowie: W księgarni Krzyżanowskiego lub w kioskach „Ruchu". Drukowaliśmy w Nr. 2 „Epoki".

Pani J. O. w Wilnie: Prof. Manfred Kridl i prof. Konrad Górski. Numery wysłaliśmy.

Panu St. K. w Kielcach: Za słowa uznania bardzo dziękujemy. W 1936 r. czternaście numerów.

Pani M. G. w Sanoku: Numery okazowe wysłaliśmy. List Pani przekazaliśmy autorowi recenzji.

Pani W. B. w Łodzi: Nie będziemy drukowali. „Nasza Księgarnia" Zw. Nauczycielstwa Polsk. Warszawa, Ś-to Krzyska 18.

Pani K. M. w Łomży: Kraków, Dunajewskiego L.7.

Panu St. M. w Łodzi: Zapomniał pan o istnieniu cenzury.

Pani J. G. we Lwowie: „Epoka" wychodzi z datą 5-go i 20-go dnia każdego miesiąca.

Panu Al. Z. w Zawierciu: Otrzymaliśmy i skorzystamy.

Panu H. K. w Radomiu: Nie możemy zamieścić. „Epokę" przesłaliśmy pod wskazanymi adresami. Dziękujemy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Maria Dąbrowska: Rozdroże. Rzecz o zagadnieniach wsi. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1937.

Antoni Słonimski: Dwa końce świata. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

J. M. Thompson: Robespierre. Tom. I. Od urodzenia Robespierre'a do śmierci Ludwika XVI. Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1937.

Jan Dąbrowski: Na zachód od Zanzibaru. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Titayna: Kobieta wśród łowców głów. Warszawa 1937. Wydawnictwo „Europa".

Fryderyk Engels: Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa. Warszawa 1937. Wydawnictwo „Europa".

L. Pasynkow: Amina dziewczę gór. Warszawa 1937. Wydawnictwo „Europa".

Juliusz Kaden - Bandrowski: Droga Wolności. Biblioteka młodzieży, Nr. 43. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

Tadeusz Wieroński: Testament ideowo-wychowawczy Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Ferdynand Goetel: Pątnik Karapeta. Cyprian Czyż. Biblioteczka uniwersytetów ludowych. Warszawa 1937. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Bolesław Prus: Sieroca dola. Biblioteczka uniwersytetów ludowych. Warszawa 1937. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Helena Boguszewska: Świat po niewidomemu. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Marcel Proust: W cieniu zakwitających dziewcząt. Tom I, II i III. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Tow. Wydawnicze „Rój".

Bolesław Piach: Nas jest więcej... Powieść. Nakładem „Naszej Księgarni". Warszawa 1937.

Od wydawnictwa

Celem ustalenia nakładu „Epoki" prosimy o bezzwłoczne nadesłanie przedpłaty za kwartał bieżący

Od dn. 1-go maja NOWY ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI „EPOKI" Warszawa Ordynacka 5 m. 4 Tel. 213-90

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3719 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.